

# DZIS' i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 7 kwietnia 1946 r.



11 9013

Nr. 14 (20)

Witold Bienkowski

## Zdrowa rewolucyjna treść czasu

„Polska znajdzie w swym gorącym a chrześcijańskim patriotyzmie pogodzenie zdrowej rewolucyjnej treści czasu z wiarą ludu“.

(Kardynał August Hlond, Prymas Polski).

Katolicki ruch społeczny na zachodzie Europy znalazł po wojnie swój wyraz w organizacjach politycznych, walczących o nową, przeobrażoną rzeczywistość społeczną. Specjalnie wybitne znaczenie osiągnęły katolickie partie polityczne we Francji i w Belgii, przyjmując współodpowiedzialność, lub nawet sięgając po pełną odpowiedzialność (Belgia) polityczną w rządzeniu odnośnymi państwami.

Interesujący jest stosunek przeciętnego (w sensie zaangażowania w społecznej pracy katolickiej) katolika w Polsce do wybitnych osiągnięć politycznych katolików w wymienionych krajach.

Przede wszystkim należy podkreślić znikomy stopień znajomości obecnej rzeczywistości społecznej we Francji i w Belgii. Wiadomości o takim lub innym układaniu się stosunków politycznych w tych krajach są czerpane z krótkich prasowych komunikatów, np. o pertraktacjach i kompromisach politycznych katolików z socjalistami czy komunistami we Francji, lub o upadku rządu w Belgii, spowodowanym osłabieniem zaufania przez chrześcijańską partię polityczną.

Owa czynna polityczna obecność katolików na Zachodzie jest przyjmowana u nas, jako pewnego rodzaju własny sukces i własne osiągnięcie. W wielu wypadkach sukcesy polityczne katolików francuskich czy belgijskich są traktowane, jako wystarczająca podstawa do stwierdzenia, że nadchodzi era panowania katolicyzmu w świecie.

Są w Polsce i tacy katolicy, którzy pod hasłem „cudze chwalić — swego nie znać“ nie są skłonni do wyolbrzymiania osiągnięć katolicyzmu zachodnio-europejskiego, uważając że katolicyzm w Polsce ma większe możliwości, gdyż jest wyznawany przez ogromną większość narodu polskiego. Ci ostatni mają może rację, jeśli nie zdradzają chęci do uproszczonego politycznego myślenia, wyrażającego się fobią do tych ruchów i organizacji społeczno-politycznych, które z doktryny marksowskiej czerpią ideologiczne uzasadnienie swej działalności.

Można z całą pewnością stwierdzić, że tak pozytywny jak i sceptyczny stosunek do katolickich ruchów zachodnio-europejskich jest normowany u nas pewnymi wyobrażeniami politycznymi, kształtowanymi na niechęć do obecnej rzeczywistości politycznej w Polsce. Takie powierzchowne podejście do poważnego zagadnienia wytwarza specyficzny typ myślenia, tolerującego na przykład kompromisy polityczne katolików francuskich z partiami marksistowskimi — a ustawiającego się wyraźnie niechętnie w stosunku do przyjęcia ewent. współodpowiedzialności katolików z marksistami za nowy porządek społeczny w Polsce.

Gdyby móc przyjąć, — absurdalnie zresztą, jeśli idzie o nasze stosunki — że da się oddzielić polityczną ocenę zjawisk od głębszej socjologicznej ich oceny, trzeba by stwierdzić, że reformy społeczne w Polsce i w świecie nie mają poważnych przeciwników. I jak nonsensem byłoby mniemać, że jest możliwy powrót do feodalnych urzędów społecznych — tak do tej samej kategorii mniemań można by

zaliczyć wyobrażenia o możliwości powrotu do dawnych form, choćby tylko przedwojennych. Zrozumienie konieczności reform społecznych już przed wojną było ogólne. Nie milczeli i katolicy. Trzeba powiedzieć więcej: katolickich dążeń do reform socjalnych nie kształtowały pojęcia materialistyczne. A jeśli idealizm norm moralnych, złączony nierozdzielnie z katolickim pojęciem reform, wykluczał możliwość przeprowadzenia ich metodami rewolucyjnymi — nie umniejsza to w niczym wartości, tak katolickiej doktryny społecznej, jak i katolickiego nakazu moralnego, żądającego przebudowy życia, odrodzenia, reform.

Nie dzisiaj i nie wczoraj, i nie z pobudek czysto politycznych, jest wiadomym, że istnieje wyraźny antagonizm między katolicyzmem i marksizmem. Sięga on bardzo głęboko. A terenem starć przeciwnych i wzajemnie obcych światopoglądów jest ten sam człowiek i to samo społeczeństwo, dyscyplinowane tak przez katolicyzm jak i przez marksizm.

Dla katolicyzmu groźne są skutki zdyscyplinowania społeczeństwa przez marksizm. Błędem jest mniemać, że groźną jest sama doktryna. Tak marksizm, jak i cały szereg doktryn sprzecznych z katolicyzmem, uderza w jego zasięg, wpływ i społeczną żywotność tylko przez skutki osiągnięć, a nie przez inność prawd i sprzeczność ustaw.

Terenem starć marksizmu i katolicyzmu jest człowiek i społeczeństwo. I dlatego dla katolicyzmu nie są i nie mogą być obojętne osiągnięcia marksizmu. Katolicki uniwersalizm ponosi klęski tam, gdzie są odwrotne skutki od katolickich założeń ogarniania całości życia człowieka. W jego wierze i w jego życiu praktycznym.

Wołanie katolicyzmu o reformy społeczne bez znalezienia możliwości ich realizacji jest tym momentem, który do pewnego stopnia zaostrza stosunek katolicyzmu do marksizmu. Reformy są konieczne. Nie zaprzeczy temu żaden katolik. I nie o sam moment przeprowadzenia koniecznych reform katolicyzm może mieć „pretensję“ do marksizmu. Zdradzenie trwa i rośnie tylko z powodu jakości dokonywanych przez marksizm reform i z powodu metody ich przeprowadzania.

Podkreślić trzeba, i to nie po raz pierwszy, że nie przypadek rządzi światem. Wielkich rewolucji nie można nazwać wymysłem diabła, wywracającego szatańsko porządek w świecie. Nie można również powiedzieć, że ludzie są zli lub głupi, jeśli dają się porwać prądom rewolucyjnym. Moralność katolicka ani nie pochwała żadnej rewolucji, ani nie popiera żadnych metod rewolucyjnych. Minęły czasy wypaczonych, chorych i złych praktyk inkwizycyjnych. Minęły czasy tortur i stosów. Minęły również czasy fanatyzmu, usprawiedliwiającego dopuszczalność wszelkich metod, byleby prowadziły do celu. Katolicy nie raz i nie sto razy popełniali błędy notowane przez historię epok. Odchodzili od wynikających z prawd wiary zasad moralnych. Poza własnymi popierali i obce rewolucje.

Wydaje się, że najłatwiej i jednocześnie najtrudniej jest określić sens gwałtownych, rewolucyjnych przemian jeżdżym słowem: — życie. Przychodzi słowo inne: — konieczność. Konieczność obalenia zastępych i skostniałych form, gdy nie ma nadziei na możliwość dokonania reform drogą perswazji i tłumaczenia konieczności odrodzenia moralnego.

Tu nie chodzi o teorię, wykluczyć należy planową akcję rewolucyjną, sankcjonowaną dowolnie interpretowanymi zasadami moralnymi.

Wydaje się, że całe zagadnienie sprostować należy do ustosunkowania się do zeszłego i historycznie nieodwracalnego faktu rewolucyjnych przemian. Z katolickiego punktu widzenia można potępić rewolucjonistów — rewolucję trzeba przyjąć jako fakt.

O ileż łatwiej jest oceniać zjawiska podług kryteriów i wyobrażeń politycznych. Ludzie potrafią analizować i oceniać bezbłędnie tylko to, co już było i minęło. Inny jest stosunek do historii zakończonych epok, niż do historii żywej, tworzonej, stającej się. W tej ostatniej dominują względy, które można nazwać komplikacjami politycznymi.

Jeśli przyjąć, że rewolucja polityczna w Polsce jest faktem minionym i dokonanym i jeśli stwierdzić, że żyjemy w okresie trwającej i dokonywanej się rewolucji socjalnej — zrozumiałe są wszelkie opory tak ze strony katolików do marksistów, jak i odwrotnie. Proces niezakończony nie da się podkreślić. I nie można zsumować wyników osiągnięć.

Ani rewolucji socjalnej, ani politycznej nie rozpoczęli w Polsce i nie prowadzą katolicy. Jest ona domeną wpływów marksistów. Konto rewolucyjnych sił społecznych w Polsce zapisuje po stronie rewolucjonistów wszystkich, oprócz świadomie zrzeszonych przy katolickiej doktrynie społecznej, katolików. Zupełnie odwrotnie, niż dzieje się w niektórych krajach zachodniej Europy. Katolicy w Polsce nie posiadają przedstawicielstwa politycznego, któreby mogło sięgnąć po współudział w sensie bardzo poważnym (Francja), lub decydującym (Belgia) w kształtowaniu procesu rewolucyjnych przemian.

Mówi się u nas — Rosja. Mówi się — warunki nienormalne. Mówi się — dyktatura i Ministerstwo Bezpieczeństwa. Wiele się mówi i wiele się buduje na plotce ulicznej i kawiarnianej.

To są właśnie owe... „komplikacje polityczne“. Komplikacje niepoważne.

Są i inne. Poważne. Przypisać bowiem trzeba rację tym katolikom, którzy opierają swoje wyobrażenia o właściwym układzie sił społecznych na tym, że przecież przegromiona część Polaków to katolicy. Racja oczywista. Racja, której nie zaprzeczy żaden marksista. I jeśli w tym wypadku możnaby nadać społeczny i realny sens tej racji — to tylko tym, że udział decydujący w kształtowaniu się przemianach rewolucyjnych w Polsce mogą mieć i powinni mieć katolicy stojący wyraźnie i niezachwianie na gruncie konieczności reform społecznych.

Nie trafi do niczyjego przekonania narzekanie o złej jakości dokonywanych reform. Nikogo nie przekonają teoretyczne wywody o zbawczej roli społecznej doktryny katolickiej tak długo — jak długo katolicy będą tkwić psychicznie w klimacie tymczasowości.

Można liczyć na wojnę. Można stawiać na Churchilla. Czemu nie? Wolno to czynić każdemu, kto w braku realizmu politycznego stawia na komplikacje. Nie te odległe. Nie te a la Kanada, lub marzec, czerwiec. Do Kanady pojedą najnie-zczęśliwsi z nieszczęśliwych,

a za marcowe, lub czerwcowe terminy wojenne można zapłacić klęską.

I może dosyć polityki. Tej z kawiarniano - maglowych rozmówek, lub z węgętującego jeszcze, lecz kosztującego burżujstwa myślowego wynikających.

Zdrowa rewolucyjna treść czasu. To przecież temat. To wyzwolenie narastających od wielu lat — lat odkrywczych osiągnięć cywilizacyjnych, lat maszyny parowej i elektryczności — żądań ludzkich warunków życia przez setki i miliony krzywdzonych. To krzyk proletariatu, to głos nędzy tak strasznej, że żadna pomoc społeczna, żaden „caritas“ nalepek sklepowych i kwitków na jałmużnę rozwiązać nie są w stanie. Więcej: — to upodłona godność ludzka domagająca się sprawiedliwości. To prawo człowieka do życia. To prawo dzieci do nauki. To prawo starców do spokojnej śmierci. To prawo matek do łez radości, a nie do krwawych łez rozpacz.

Rewolucja przemian socjalnych żąda obecności katolików. W interesie dobra społecznego, a przede wszystkim dobra moralnego tych wszystkich, którzy z wyznania są katolikami, a z narodowości Polakami. Rewolucyjny duch czasu tylko w Polsce nie ma zdecydowanego przedstawicielstwa katolickiego. Tkwi ono w atmosferze fobii, w kulcie „komplikacji politycznych“. Interesy głodnych reprezentują w okresie rewolucyjnych przemian światopoglądowo obcy. Rewolucyjny maksymalizm przemian społecznych jest reprezentowany przez marksizm. A przecież część tych przemian, moment pokonania „martwego punktu“ leżą w interesach po katolicku rozumianej konieczności reform \*).

Zdrowa rewolucyjna treść czasu nie pokrywa się z żadnym maksymalizmem rewolucyjnych osiągnięć politycznych. Te są zawsze przejawskrawione. Idą one po linii żądań krańcowych. W osiągnięciach rewolucyjnych nie tylko realizują się maksymalne polityczne założenia reformatorskie, ale wyzwalają się także niskie instynkty ludzkie. Opanować je — to skończyć proces rewolucyjny. Nadać nie tylko kształt prawny, ale z psychiką społeczną związać nowy ład — to wejść na nową ustabilizowaną drogę ewolucyjnego postępu.

Rewolucja to punkt zwrotny. To pokonanie skostnienia i strupieszności, to unicestwienie zakłamania, polegającego na dopasowywaniu żywych zasad do martwoty przestarzałych form.

Rewolucja to wyzwolenie sił radykalnych, żądających przebudowy i zmiany stosunków społecznych.

Cóż można powiedzieć o radykalizmie katolickim? Zwłaszcza wówczas, gdy w poważnym podejściu do zagadnienia wyklucza się jakieś katolickie polityczno-radykalne założenia programowe i potępia się nieuczciwe dopasowywanie zasad katolickich do tych założeń.

\*) Nie zrozumiał mnie ks. Piwowarczyk, gdy o tym temacie w jednym z poprzednich artykułów pisałem. Nie o poszczególne zdania tu chodzi i nie o podejrzliwe wypatrywanie ewent. błędów. Pisałem i powtarzam to będę wielokrotnie, że tylko uchwycenie przez katolików należnej im roli w dobie rewolucji społecznej może zapewnić katolicyzm udział w walce o nową treść społeczną i w... o.

Radykalizm katolicki wynikać może i powinien z porównania praktyki „życia katolickiego“ z zasadami, mającymi to życie normować. Radykalizm katolicki jest i musi być umiarkowany. Radykalizm katolicki nie stanie do licytacji z żadnym innym. Ogranicza bowiem i poskramia instynkty ludzkie, nie zna nienawiści i odwetu. Przelicytuje go każdy radykalizm, którego rozwoju nie hamują normy etyczne.

I dlatego zdrowa rewolucyjna treść czasu dotyczy konieczności sprawiedliwego rozwiązania narosłych krzywd i fałszywych lub przestarzałych norm społecznych, wyklucza z metod rewolucyjnych to wszystko, co usiłuje budować na odwiecie, nienawiści, lub rozpętaniu nie-

opanowanych w żądaniach instynktów ludzkich.

O zdrową rewolucyjną treść czasu katolik winien walczyć. Obowiązuje go jednak, jako warunek wzięcia udziału w walce, uznanie i przyjęcie tej rewolucyjnej treści czasu. Nie negacja i walka, lecz pozytywny rewizjonizm i twórczy wkład.

Katolik w Polsce jeszcze długo będzie się przyglądał zachodnio - europejskim katolickim organizacjom społecznym i politycznym. Długo nie będzie ich rozumiał i właściwie oceniał.

Stać go może na ocenę polityczną z punktu widzenia interesów „własnego

podwórka“ — nie stać na zrozumienie treści. Każdą treść katolicką trzeba bowiem przeżyć. Przede wszystkim osobście, a potem społecznie. A nie mieliśmy przecież nawet imitacji francuskich J. O. C., J. A. C., J. M. C. Nasze chrześcijańskie grupy polityczne i zawodowe kształtowały się na nazbyt anemicznych wzorach. Teorii katolickiej nie brakło nam nigdy, treść katolicka realizowana w życiu dawała wyniki tak odosobnione, że wyrastały one do znaczenia omal heroicznych. Nie wytworzyliśmy typu katolika i katolickiego stylu życia.

Przed nami wszystko. Punkt zwrotny mamy już poza sobą.

Witold Bienkowski.

Kazimierz Koźniewski

## Próba francuskiego bilansu

Gdy wieczorem 17 czerwca 1940 roku radio doniosło, iż nowy premier Francji poprosił Hitlera o warunki zawieszenia broni, wśród zebranych pod głośnikiem w Coëtquidan polskich żołnierzy padło zasadnicze pytanie. — „Jesteśmy-ż świadkami V wieku Rzymu, czy też XVIII wieku Rzeczypospolitej? Świadcami kłeski czy kryzysu?”

Tak pytano w końcu pierwszego roku drugiej wojny europejskiej. W bezmała rok po jej zakończeniu, a przeszło półtora po wyzwoleniu Francji — godzi się podjąć próbę odpowiedzi. Próbę tylko — gdyż w istocie jesteśmy dopiero u początku zmian ideologicznych i psychicznych kontynentu „europejskiego, które może najdokładniej uwidaczniają się dziś właśnie we Francji. Jak powikłany gąszcz problemów politycznych Francji czasu wojny — był jaskrawiej narysowanym obrazem zagadnień i zagadek całej Europy — tak i teraz procesy Francji można zgrubsza przyjmować za reprezentatywne dla całego kontynentu europejskiego, z pod którego tu określenia wyłączyć jednak należy zarówno Wielką Brytanię, jak i Związek Radziecki.

### „SWOISTA „WIELKOŚĆ“ TRZECIEJ REPUBLIKI.

Bardzo zabawnym jest czytać wywody Maurois w jego niefortunnej książce „Tragedie en France“ o roli metres premierów Daladier'a i Reynaud'a w perypetiach pamiętnej wiosny. Bardzo atrakcyjnym zajęciem jest doszukiwanie się przyczyn wydarzeń z pierwszej połowy roku 1940 li tylko w polityczno-personalnych machinacjach czołowych aktorów schyłku Trzeciej Republiki — w istocie jednak o tych smutnych faktach nie zdecydowały tylko polityczne machlojki posłów z lewicy czy prawicy. Gra polityczna — zła czy dobra — w państwie suwerennym uprawiana jest przez osobników, którzy z narodu wyrosli. I rzecz smutna ale prawdziwa — nie koniecznie są oni najbardziej mądrymi, uczciwymi czy przewidującymi członkami swego narodu; częściej raczej przeciwnymi. Ich reakcje są naogół w niewielkim stopniu rezultatem rzetelnych kombinacji rozumowych, lecz psychicznymi objawami nastrojów i przekonania szerokich mas. Przyczyn postępowania francuskich polityków doszukiwać się należy w nastrojach nurtujących ten naród w tamtych czasach.

„Francja zginęła przez swą wielkość“ — tą paradoksalną opinię wygłosił w ewakuacyjnym rozgłoszeniu francuskiego „czerwca“, jeden z polskich żołnierzy, w cywilu młody uczonek fizyk, asystent Paryskiej Sorbony. Rozumowanie jego — aczkolwiek w swym ostatecznym sformułowaniu posiada wszelkie wady niedokładnego paradoksu — było niewątpliwie ciekawe. A dzięki swej trafnej diagnozie francuskiej postawy psychicznej, warte powtórzenia.

Gros narodu francuskiego — chłopstwo i mieszczaństwo — osiągnęło przed wojną wysoki stopień dobrobytu. Szeregiem rewolucji ciągnących się bez mała wiek cały — wywalczyło szerokie prawa i przywileje polityczne dla jednostek rodzaju męskiego. W tym stanie rzeczy jednostka była na ogół do tego stopnia zadowolona — iż nie przewidywała ani rozrastania się mocarstwa, Imperium Francuskiego, ani potrzeby zbyt gwałtownych zmian w wewnętrznej

strukturze Trzeciej Republiki. Podczas, gdy w Trzeciej Rzeszy ustroj państwo-społeczny naruszył zdrową regułę „złotego środka“ stosunków między jednostką a społeczeństwem w kierunku zasad wyrażonych sloganami „jednostka dla społeczeństwa“ i „wszystko dla państwa“, to w Trzeciej Republice życie miało tendencje ułożenia się według wręcz przeciwnej reguły: „społeczeństwo dla jednostki“, „jednostka ponad państwem“, co przepuszczone przez rentiersko - mieszczański filtr — dało w rezultacie kwiaty i sybarytyzm. Zasada Trzeciej Rzeszy była zbrodnia, praktyka Trzeciej Republiki okazała się — niestety — wręcz samobójczą. Nastroje tego rodzaju — rzecz wiadoma — nie sprzyjają chodowaniu temperamentów tak bojowych, jak i bezkompromisowych. Jeżeli by ewolucja psychiczna wszystkich narodów w Europie szła po linii i w tempie rozwoju charakteru narodowego Francuzów — wojna nie wybuchła już nigdy w Europie. Prostu nikomu nie chciało by się walczyć. Tak jak nie chciało się walczyć Francuzom. Narody byłyby wtedy może zbiorem łatwych kandydatów na Quislingów czy Pétain'ów, ale równocześnie nie doszłoby do ujawnienia się tych skłonności w tak drastycznej formie. Swe polityczne ujęcie znalazły by one w rozsądnych ramach międzynarodowego kompromisu.

Taka postawa psychiczna — rozpatrywana w oderwaniu od konkretnej rzeczywistości społecznej, narodowej i moralnej, oceniana a priori — niewątpliwie jest zdolna pobudzać zazdrosne marzenia nieszczęsnych ofiar wszelakiego rodzaju pól — czy pełnych totalizmów, ale też ciągle jeszcze nie może być zalecaną do naśladowania. Zbyt wielkim paradoksem jest nadanie jej wysokiej rangi „wielkości“, gdy w istocie z rzeczywistością wielkością ducha czy umysłu, z rzeczywistym heroizmem moralnym czy intelektualnym nie wiele ma ona wspólnego. Raczej przeciwnie. Postawa psychiczna Francuzów AD 1940 — jest postawą do której pochodu możemy nawet i wzdychać, ale na którą pozwolić sobie nie wolno, gdyż w momencie kłeski oburza ona swą deprawującą bezsiłą.

Taka właśnie, w świecie jeszcze osamotniona, zawczesna, paradoksalnie jako „wielkość“ sklasyfikowana, postawa psychiczna tego narodu — zgnęła Francję.

### KIERUNEK WYJSCIA.

Nie wiele pomogły kunktatorskie zabiegi francuskich kollaboracionistów. Narodowi francuskiemu nie zostało oszczędzone wypróbowanie na własnej skórze zasad zgoła odmiennych od praktykowanych przezeń do tragicznego czerwca. Cztery pełne lata rządząca we Francji regułą społeczną było — „wszystko dla państwa“ i to w dodatku — państwa obcego, wrogięgo. Doznawszy tak rozległej skali ustrojów — musiał naród francuski wyciągnąć odpowiednie wnioski; z jednej strony idące w kierunku absolutnej negacji dotkliwie odczutego systemu rządów totalnych, z drugiej — w kierunku rezygnacji ze swojej przedwczesnej określonej powyżej, „wielkości“. Dokładny rezultat tych wojennych kolekcji uwidoczniły ostatnie wybory. Cyfrowy wynik głosowania zestawiony z programami zwycięskich partii — dać może pewien obraz tych zmian w prze-

konaniach narodu francuskiego, które dokonały się między 18 czerwca 1940 roku, a 20 października 1945 r.

Poza morderczym młotem hitlerowskim, pragnącym ukuć z Francuzów tylko bezwolne kółka w poruszanej przez siebie maszynie „europejskiej wspólnoty“ — jeszcze inne elementy złożyły się na powstanie impulsów zmian w poglądach narodu francuskiego. Były nimi zdrada własnego rządu z Lavalem na czele, niezadana „double jeu“ grupy Pétain'a, postawa katolika de Gaulle'a i krajowa akcja ruchu oporu, który wyrósł na nieoczekiwanej dla dotychczasowej mentalności przeciętnego Francuza koalicji: komunistów, socjalistów i katolików. Skład tego „trumwiratu“ nie powinien być jednak dla uważnego obserwatora życia umysłowego Francji przedwojennej zbyt rewelacyjny.

Pozbawiony w osiemdziesiątych latach ubiegłego stulecia opieki państwa, a nawet przez państwo zwalczany — katolicyzm francuski musiał, by nie zginąć, podjąć ofensywę intelektualną i ideologiczną. Wolny od laickiego państwa — musiał stać się od niego społecznie żywszy i inteligentniejszy. Musiał zdobyć masę i inteligencję — wbrew państwu. Musiał tedy dokładnie wyczuć braki, błędy i potrzeby — nawet nieświadomione — własnego narodu, by naprawę lub zadośćuczynienie wypisać na swych sztandarach. W tego rodzaju pracy musiał francuski katolicyzm znaleźć się — nie roniąc nic ze swej wiary — na lewym skrzydle ideologicznego wachlarza, socjalistami tylko oddzielony od komunistów. Świat cały zna naogół przebieg walki między Trzecią Republiką a francuskim katolicyzmem — walki, która skończyła się wprawdzie zwycięstwem nie tylko samych katolików, ale w każdym razie przegrana Trzeciej Republiki. W tym stanie rzeczy czołowy udział katolików francuskich w ruchu oporu był równie zrozumiały, jak udział w nim socjalistów.

Naczelna rola w podziemnym ruchu oporu — wobec niewypełnienia obowiązku kierowania przez legalny rząd francuski — prawem naturalnej selekcji musiała przypaść tym ludziom czy grupom, których oblicze ideologiczne, ujawniło się z jednej strony jako dostatecznie antytotalistyczne, z drugiej, wystarczająco antyindywidualistyczne. Zadość tym postulatom czyniła francuska lewica złożona z socjalistów i komunistów oraz polityczne grupy katolickie. One tedy stały się ośrodkiem krystalizacji podziemnego ruchu oporu. Obecność, popularność i dominująca rola w tym zespoleniu komunizmu — szczerze mówiąc dziwi mocno wielu Polaków. Winni oni jednak pamiętać, iż my zawsze ocenialiśmy i oceniamy komunizm w nierozłącznym związku z Rosją, na którą skolei pałaliśmy przez pryzmat naszych wiekowych historycznych i geograficznych perypetii. Francuzi nie potrzebują mieć tego rodzaju uprzedzeń i względów. Bezkompromisowo antyhitlerowska bojowość komunistów pozwoliła zapomnieć opinii publicznej o dwuznacznej grze Thoreza, który we wrześniu 1939 roku wyjechał z Francji do Rosji i wraz z wstępującą dzięki zwycięstwom popularnością Rosji Sowieckiej wśród narodów zachodniej Europy — pozwoliła uzyskać dla Komunistycznej Partii Fran-

cji czołowe miejsce w kierownictwie podziemnego ruchu oporu, opowiadającego się za de Gaullem i uznającego w nim przedstawiciela istotnych wolnościowych aspiracji francuskich.

Należy teraz określić jasno różnicę między strukturą francuskiego ruchu oporu t. zw. „Front National“ — jako organizacji lewicy, czy „Front de Liberation National“ — grupującej grona katolickie, czy też od roku 1943 już scałkowanej jednolitej organizacji „FFI“ (Forces Francaise Interieur) — a organizacjami konspiracyjnymi u nas. We Francji ruch konspiracyjny tylko i wyłącznie składał się z organizacji początkowo ideowo-politycznych, a później z elementu ludzkiego, rekrutującego się z tych organizacji. Zawodowych oficerów w francuskim ruchu oporu było bardzo niewiele. Ruch ten nigdy nie przybrał form oficjalnych, co dziś uwidacznia się drastycznie w ignorowaniu wyroków sądów podziemnych — jako wyroków nieformalnych — przez dzisiejsze jawne sądy francuskie. Francuski ruch oporu cały czas tworzył się od dołu, jako społeczna potrzeba, a nie od góry, jako wyraz dążeń państwa. Francuzi oporu uznawali „Londyn“ tylko jako jawnego wyraziciela ich dezyderatów na terenie międzynarodowym, nie zaś za przełożony czynnik nadrzędnych organizacji krajowych. U nas było inaczej. Z jednej strony stworzyły się samorzutne ruchy polityczno - ideowe, z drugiej rząd polski zbudował „od góry“ organizacje wojskową i polityczną, mające zachować ciągłość państwowej władzy. Te dwa nurty zeszyły się w momencie podporządkowania się znakomitej większości ideowych organizacji jednemu militarnemu i politycznemu kierownictwu. Miało to swe duże plusy, ale miało i minusy. Do tych ostatnich należało wytworzenie się specyficznej podziemnej biurokracji, tak cywilnej, jak wojskowej. Historia konspiracji polskiej ujawni kiedyś duże walki toczone między tą właśnie biurokacją kierowniczą — a organizacjami ideowymi, odgrywającymi rolę pewnego rodzaju legalnej opozycji. Ostre spory toczyły się zarówno o posunięcia polityczne, jak i składy personalne. W polskiej konspiracji istniało zjawisko, poza Polską może nigdzie więcej nie obserwowane. Gdzie indziej była konspiracja, według jej wszelkich reguł tradycyjnych i konwencjonalnych, oparta o element ideowy, nader podobna do naszych konspiracji sprzed tamtej wojny. U nas inaczej. Państwo z całym balastem i pełnią życia politycznego opuściło się niejako parę stopni w dół, lecz nie wiele straciło ze swego charakteru. Pozostało organizacją państwową, z wszelkimi wadami i zaletami tego rodzaju instytucji. A więc i zachowało tą przepaść, jako zawsze, z nieuniknioną regułą, wytwarza się między organizacją państwową jako taką, a społeczeństwem tak niezorganizowanym jak zorganizowanym, w partię czy związki ideowe i polityczne. Stąd w stosunkach polskich można mówić z dużym prawdopodobieństwem o zjawisku odmiennego opinii u „góry“ i w „dołach“ konspiracji. Zjawisku, ostrość którego łagodzona była przez nabytą wskutek reakcji na przyczyny półtorawiecznej niewoli, cechę karność, właściwą dzisiejszemu społeczeństwu. Wróćmy jednak do naszego właściwego tematu — po tej przydługiej nieco dygresji.

Jeżeli idzie o francuski ruch oporu — to kierownictwo jego odzwierciedlało istotne dążenia polityczne i ideowe nurtujące w masach żołnierzy organizacji. Przede wszystkim dlatego, iż — wbrew pozorom ruchy konspiracyjne ideowe — (oficjalnych — we Francji nie było) są bardziej demokratyczne w praktyce swych form organizacyjnych, niż wielokroć partie jawnie działające, często muszące liczyć się z wielu pobocznymi względami, nieważnymi dla tajnie działającej grupy. Kierownictwa konspiracyjne bardziej zależą od nastrojów swych członków, gdyż oni to decydują o istnieniu organizacji. W konspiracji ideowej łatwiej wysuwają się drogą naturalnej selekcji urodzeni przewodnicy grup, a ci z właściwości swej natury są już mediami kierowanych przez siebie zespolów. Przez nieustanne straty i istotne niebezpieczeństwa konspiracyjnej walki — rychło na czoło organizacji wysuwali się młodszy i bardziej zbliżeni do

mas członkowskich działacze. Ideowo-polityczna organizacja konspiracyjna wędnie nader prędko, jeżeli przestaje odpowiadać przekonaniom jakichś większych zespołów społecznych. Jest więc rzeczą i ryzykowną i fałszywą przeprowadzanie zbyt drastycznych linii podziału między „górami” a „dołami” francuskich ideowych ruchów konspiracyjnych.

We Francji dominanta trzech ugrupowań w kierownictwie „ruchu oporu” było tylko rzetelnym odbiciem układu sił w dołach tego ruchu, co znów z kolei było funkcją przemian, które wojenne doświadczenia dokonały w duszy i mózgu francuskiego chłopca i mieszczaństwa. I nieważne dla naszych rozważań jest to, że główną cechą zachowania się większości ludności Francji przez cztery lata niewoli był letarg oraz bezustanne zwracanie oczu pełnych nadziei to na Pétain'a, to na de Gaulle'a; nieważne, że ilość członków ruchu oporu aż do ostatnich miesięcy przed wyzwoleniem nie wiele była większą ponad ćwierć miliona. Ważnym jest, że tylko te trzy ośrodki ideowe zdobyły się na istotny ruch oporu, co znaczy, iż w życiu politycznym narodu francuskiego czasu wojny — były to jedyne pozycje istotne.

Gdy w sierpniu 1944 roku Paryż został oswobodzony spod okupacji niemieckiej — naród francuski najgorsze stadium swej choroby miał już poza sobą. Znał już właściwe lekarstwo. Znalazł już kierunek wyjścia z impasu.

#### REFLEKTOR WOLNOŚCI.

Słusznym jest zdanie, iż tak długo, jak trwa konspiracja, jej rzeczywisty zasięg cyfrowy i ideowy jest w gruncie rzeczy niewiadomy. We Francji reflektor wolności działając najsilniej po przez soczewkę powszechnych, niezablokowanych wyborów, oświecił nam i wyraźnie uwiłoczniał parę arcyważnych, zrodzonych w latach podziemnego oporu, elementów, które determinować będą najbliższą przyszłość tego kraju, a prawdopodobnie zadecydują na długie lata o obliczu narodu dla Europy nieodzownego.

Pierwszym z tych zasadniczych elementów, które wyłoniły się z wojennej zawieruchy — jest przewyciężenie Trzeciej Republiki. 86 proc. wyborców (tym razem i kobiet!) opowiedziało się przeciw zasadom, które pozostały w ich pamięci jako charakterystyczne dla schyłku okresu zainaugurowanego przez Thiersa. Opowiedziano się więc przeciw absolutnie stosowanej zasadzie „społeczeństwo dla jednostki”; przeciw absolutnemu liberalizmowi, przy czym w danym wypadku chodzi o liberalizm gospodarczy, a nie polityczny (ten został wydatnie rozszerzony przez dopuszczenie kobiet). Sternicy Trzeciej Republiki — radykałowie — ponieśli sromotną klęskę, potwierdzając zasadę odpowiedzialności za przegraną ustroju, ponoszoną zawsze, nie przez naród, ustrój w danym czasie aprobujący, lecz przez jego liderów. Rozlatujący się gmach Trzeciej Republiki przygniósł jej budowniczych. Klęska całkowita partii prawicowych — przy absolutnej swobodzie wyborczej — podkreśliła nie tylko tylko przegraną ideałów reprezentowanych przez radykałów, lecz wogóle jest niewątpliwym symptomem rzeczywistego uradykalniania się społeczeństw powojennych.

Drugą cechą charakterystyczną — jest pojawienie się odrazu, z chwilą wybuchu wolności, gotowego, zupełnie ukształtowanego, a dla Francji absolutnie nowego, stronnictwa o typie katolicko - demokratycznym, Mouvement Republicain Populaire — i zajęcie przezeń czołowego miejsca w wyborach. M. R. P. — w założeniach swych jest demokratyczne: występuje zdecydowanie przeciw jakiegokolwiek dyktaturze, obojętne wojskowej, proletariackiej czy nawet katolickiej a la Salazar, oraz jest anty-kapitalistyczne, w swym programie reform społecznych niemal, identyczne z korespondującą częścią programu brytyjskiej „Labour Party”. W odniesieniu do MRP znamy opinie, suponujące, iż jest to „worek”, w którym znalazły schronienie elementy reakcyjne, a program jego jest jakoby jedynie kamuflażem dla zagrożonego kapitalizmu. Podobna ocena nie wydaje mi się słuszną, dla rozważań jednak naszych nie jest ona specjalnie istotną. Jeżeli nawet w kierownictwie MRP zamaskowane gniazdo swych karabinów ma-

szynowych uwiły sfery kapitalistyczne — to 24 proc. francuskich wyborców głosując na program ludowych-republikanów, mimo, iż do dyspozycji stał cały wachlarz organizacji rzeczywiście prawicowych, reakcyjnych — nie czyniły tego przez jakąś polityczną perwersję, lecz z istotnego przekonania o słuszności doktryn głoszonych przez liderów MRP-u. Ważnym jest wynik głosowania, jako rezultat nastroju mas. Jeżeli kierownictwo partii zawiedzie — masy wyborców powołają wtedy do życia inną partię, inne MRP\*). Fakt tedy pozostaje faktem — bezmała czwarta część społeczeństwa francuskiego opowiedziało się za partią katolicką o radykalnym, zbliżonym do socjalizmu brytyjskiego, programie reform społecznych.

Jeszcze pełniejszym zwycięstwem katolicyzmu francuskiego jest owe 86 proc. głosujących przeciw zasadom Trzeciej Republiki, z których bodaj najkapitałniejszą była walka z katolicyzmem. Komuniści głosujący „tak” na pierwsze py-



Była już prawie zima, lecz wiatr południowy dmuchał  
I pachniał wstążkami dziewczyn. A był bliski drutem  
Bukowy las, a buki były podobne nutom  
Stamtąd wyszła do jeńca: powiedziała — posłuchaj  
Kładę Ci dłonie na włosach, by miłosierdzie z odwagą  
Spłść w sercu Twoim, ażebyś czuł i mocny wytrwał  
Ja jestem spokój Twej nocy i walka dnia, i modlitwa,  
I długi obłok błękitny — Matka Boska Stalagów  
Znam Wasze wszystkie troski. I wszystkie, co Was zasmuca  
Listy i noce samotne, i dni beznadziejne, i długie.  
I troski Wasze, jak kwiatki splatom w szumiący bukiet  
I składam na stopniach tornu mojego Pana Jezusa  
Wtedy Pan Jezus powstaje, odkłada na chwile berło  
I każdej najmniejszej trosce tak śpiewne daje imię  
Że jedna się staje rubinem, szmaragdem, inna perłą  
I ta najcięższa, najkrwawsza, wyrosła w drzewo olbrzymie  
Ja wiem, jak to wszystko boli, więc jestem do końca z Wami  
Blaskiem nad Waszą rozpaczą i śladem na śnieżnej bieli  
A jeszcze palmą i wieńcem, dla tych, co zęby zacięli  
Jak deszczem słodkim na kwiaty spadam na włosy rękami  
Dowidzenia. Już idę do uciemiężonych kobiet  
Ześlę im sny szeleszczące o dzieciach w różanych sukienkach  
O mężach dobrych, o życiu, co dźwięczy, jak piękna piosenka  
A tym, co od żalu pomarli jarzębiną rozkwitną na grobie.  
I odchodzi po smudze światła z jarzębinowych jagód  
Jak z rany Twej, żołnierzu, padają krople krwi  
Lecz nim ostatnie spadną — nadejdą lepsze dni  
I powróci na Jasną Górę — Matka Boska Stalagów.

Altengrabow  
1945

K. I. Gałczyński.

reza utworzenia rządu dwupartyjnego (bez MRP) po styczniowej dymisji de Gaulle'a —

— jeżeli chodzi o odcinek taktyczny, który jednak jest funkcją pewnych zmian ideologicznych uwidoczniomych w sławnej już dziś książce Leona Bluma „A l'echelle humaine”, będącej uzupełnieniem marksizmu etycznymi postulatami Jauresa. Leon Blum odrzucając zasadę „rewolucji społecznej” opowiadając się za „ewolucją”, „demokracją” rozumiejąc jako rządy zbiorowości dopuszczającej do swobodnego głosu i swobodnej gry sił wszystkie kierunki polityczne — zbliża się do typu socjalizmu reprezentowanego przez brytyjską Labour Party, której założenia ideologiczne tak jasno sprecyzował jesienią ubiegłego roku premier Attlee na zjeździe Trade Unionów w Blackpool.

Z drugiej jednak strony — duży odłam SFIO występuje przeciw polityce Leona Bluma, dąży do reaktywowania instytucji „Frontu Ludowego”. Należy liczyć się z możliwością rozłamu w SFIO na dwie grupy: jedną ciągnącą do Labour Party i MRP, drugą do partii komunistycznej.

Te perypetie francuskiego socjalizmu są jedną z kapitalnych cech obecnej sytuacji politycznej we Francji, która podobnie, jak i u nas, ma tendencje do wyraźnej sprecyzowania się w dwóch wyraźnych, opozycyjnie względem siebie nastawionych sił ideowych: marksizmu i katolicyzmu, a raczej pewnego stopu powstałego z fuzji postępowej myśli katolickiej z pewnymi odłamami de-marksi-zującego się powoli socjalizmu.

Czwartym wreszcie czynnikiem — jest ogromny wzrost sił partii komunistycznej, która powiększywszy dwukrotnie swój stan mandatów w parlamencie, wobec stanu z przed laty dziesięciu — stała się dziś w propozycji względnej najsilniejszą partią Francji. Rezultat ten — to owocowanie z heroicznej postawy w czasie okupacji. Program komunistów nie uległ żadnym istotnym zmianom od czasów przedwojennych — potrafił jednak, nie bez wykorzystania międzynarodowej koniunktury, zjednać sobie tytuł nowych zwolenników, iż gotowy jest, jak wskazuje przebieg ostatniego kryzysu rządowego, podjąć walkę z MRP o przecignięcie CFIO na swoją stronę, co równałoby się uzyskaniu decydującego wpływu na sprawy własnego państwa i narodu. Komunizm francuski jest dziś partią przeżywającą renesans pod każdym względem, tak politycznym jak intelektualnym; jest on jedną z najistotniejszych sił politycznych i kulturalnych Francji współczesnej — i zapoznawać go nie wolno żadnemu tak politykowi, jak badaczowi.

#### RACZEJ PRZYPADK POLSKI.

Jesteśmy już dostatecznie zorientowani w rozwoju sytuacji we Francji od czerwca 1940 roku, by stwierdzić, że w postawionym w Coëtquidanie pytaniu punkt ciężkości przesuwa się już wyraźnie z przypadku Rzymu na przypadek Polski. Nie mniej dokładną odpowiedź przyniesie nam mogą najbliższe miesiące, a może nawet dopiero lata.

Właściwie stoimy dopiero u progu nowej francuskiej rewolucji. Przeróżne wiry kołują dziś jeszcze Francją. Dzień każdy nasuwa szereg taktycznych pytań w rodzaju trafnie sformułowanego przez „Rzeczypospolitą” tytułu w związku z dymisją de Gaulle'a: „Sulejówek czy Panteon?”. Na pytania podobne i na bardziej istotne — jedyną akuratną i wiarygodną odpowiedź przyniesie nam dopiero tekst najbliższej konstytucji Republiki Francuskiej. Konstytucja ustali linie rozwoju, a wyborami czasowymi określi nastrój francuskiego społeczeństwa.

Zanim jednak odpowiedź taką otrzymamy — winniśmy rozwój sytuacji we Francji śledzić specjalnie rzetelnie, jako iż ta druga ojczyzna wszystkich Europejczyków jest przez swą kulturę i położenie ciągle jeszcze wykładnikiem reszty naszego kontynentu.

#### Kazimierz Koźniewski.

\*) W pierwszym roku wojny jeden z szefów PPS-u wróżył mi wzrost nastrojów lewicowych wśród społeczeństw Europy, w wyniku wojny. Gdy teraz to się stało, ta sama osoba widzi w tym podstęp reakcji. Mając zastrzeżenia wobec czystości intencji wyborców MRP — dlaczegoż nie ma się podobnych wobec wyborców Labour Party?

Jan Dobraczyński

# Wytrwamy i wygramy

Dwie małe książeczki, dwa pierwsze tomiki Wydawnictwa Instytutu Śląskiego: Współcześni pisarze Śląska. I Edmund Osmańczyk „Walka jest zwycięska” str. 59, II Wilhelm Szewczyk „Posągi” str. 63 — Katowice 1945.

Dwaj poeci zrodzeni Polsce przez ziemię odzyskaną: Osmańczyk i Szewczyk.

Pamiętam tomik poezji Osmańczyka, wydany chyba w 1938 r. w Opolu. Spłoną, naturalnie, razem z innymi tomami mojej biblioteki. Był to tomik o tak niebywałej sile, o takim jakimś niepohamowanym rozmachu, że dla mnie, który zawsze żyłem urokiem przyciągającym ziem polskich — wówczas jeszcze jęczących pod butem niemieckiej niewoli — stał się odkryciem, więcej: przedziwnym objawieniem prawdy tych ziem. Powtarzałem, jak urzeczony:

Moim jesteście Opole. To tobie słowo  
moje!  
Słowo niezwykłe, jak wszystko, co  
polskie.  
— Oto na ziemi Ojców słowem żywym  
stoje!  
Miasto moje — Opole — jakżeś ty  
opolskie.

Powtarzałem i pokazywałem innym. Wiedziałem zawsze: o tamte ziemie będziemy walczyć. Czułem — sam nie wiem na jakiej podstawie, że te ziemie do nas powrócą. Ale o tych ziemiach wiedziałem tak mało. To nie uczy, gdy się czyta jakieś tam naukowe wywody, lub gdy zreczny reporter pojedzie za granicę i parę ciekawostek z ziemi, która nas przyciąga, przywiezie. Ziemia mówi ustami ludzi. Ziemia mówi, gdy poeta pisze:

Lata znaczone są wiekami,  
jak my się z wami mocujemy  
i mimo wasze wieki — trwamy,  
i wciąż jesteście. I będziemy!

(Niech mi wybaczy Autor, że pozwałam sobie w cytacie jego wiersza zmienić znaki pisarskie — ale tak wydaje mi się mocniej, i bardziej zgodnie z Jego myślą).

Tomik Osmańczyka: „Wolność jest słoneczna” rozerwały salwy armatnie. Zaczęło się. Myślałem z niepokojem o tym, co się dzieje z poetą. Odetchnąłem, gdy się dowiedziałem, że jest w Warszawie i żyje. Żałowałem, że nie mogłem się z nim zetknąć, by wziąć coś od niego do antologii „Słowo Prawdziwe”. Odetchnąłem po raz drugi, gdy wróciwszy z tułaczki, dowiedziałem się, że Osmańczyk poszedł zdobywać Berlin.

To jest wiosna — rok czterdziesty  
piąty!

Zapamiętać najważniejszą z dat!  
Przekreślamy trzydziesty dziesiąty!  
Przekreślamy sześć potwornych lat!

Tak, to rzeczywiście była najważniejsza data. Któż z nas nie żałuje, że w tym kwietniu nie był w Berlinie? Któż z nas nie zaciska pięści z żalu, że nie jemu jest danym strzelać w ściany Alexander Platzu, w łuk Brandeburskiego dziwołoga, w mur kanclerskiego pałacu — tej skamieniałej nienawiści do wszystkiego, co polskie? Ale to pewne, że Osmańczyk miał większe, niż my prawo bić się na ulicach miasta, tego miasta, o którym mówi:

Wycięty skrawek z Boga tarczy  
Na chodnikową miarę starczy!  
I tak nikt nieba nie dotyka...

Część utworów z tamtego tomiku odnajdujemy w tomie: „Walka jest zwycięska”. Ale tylko część. Nie ma czasu na oglądanie się w tył: Historia stąpa. Maszeruje Osmańczyk w mundurze żołnierza polskiego i pisze — na krótkich postojach dziejów:

Dość spłynęło nam potu w ziemię ongiś  
własną,  
Sprawiedliwość przyjść musi, choćby  
piorun trzasnął!  
Garście silnie do pługa, przyszła na nas  
pora:  
Odebrać co nasze i Polsce przyorać!

Poezja Osmańczyka, jest może zanadto historyczna. Poeta jest jednocześnie publicystą i to tęgim publicystą, więc publicystyce może zbyt wiele swego ja ofiorowuje. Jeżeli mam być szczery, to muszę powiedzieć, że wolę poezję z okresu „radosnej wolności”. Tamte były więc poezjami, mniej pisanymi poetyckim językiem manifestami. Jeżeli z kogo wy-

wodzić poetykę Osmańczyka, to chyba z Broniewskiego. To ten sam lapidarny, nieprawdopodobnie mocny ton, treść przerstająca odczucie, nastrój mocniejszy niż treść. Być może jest w nim także coś z Baka — nie z tego Baka dzisiejszego, znowu szukającego na nowo swego wyrazu, ale tamtego z czasów Polski — co miała być mniej polską.

Inaczej zupełnie brzmią strofy Szewczyka. Doskonale sam o swej twórczości powiada poeta: „Śląsk w każdym wierszu zatapia pazur coraz głębszy”. To wcale nie znaczy, aby nuta liryczna przytłoczyła atmosferę walki. U Szewczyka walka o Śląsk toczy się nie mniej zacięła, nie mniej uporczywa, jak u Osmańczyka, ale jest to walka poetycko wchłonięta, wydobytą aż poprzez odgłębny ton odczucia.

Tak, nie Faust mnie urodził, lecz ojciec, mój ojciec,  
Więc mi w pospolitości wszystkie wiersze drżą.  
Stąd — nie: gdy się komin oplata w polną  
złotę,  
gdy zmierzch, wtedy modlę się w twarzym ogrójcu  
za ciebie, ziemio skołatana,  
za to, co przyjdzie, co jest i kiedyś szło  
za te mgły, za te chwile spojrzeń zbyt  
dojrzałych,  
za mnie, za mnie, za mnie  
amen.

Osmańczyk żyje buntem i walką, Szewczyk — bólem, ale i zawziętością trwania. Jego poezje to żyjący swym codziennie-tragicznym życiem Śląsk. Życzenie poety ziściło się: W poemacie „Noc” mamy wszystko — serce Śląska, mowę Śląska — jego tęsknoty, łzy i czekanie. Osmańczyk bywa chwilami płomiennym optymistą. Szewczyk tkwi bliżej ziemi i dlatego nie raz mówi językiem krwawej goryczy:

Nikt mnie tu nie odwiedza z ziemi ojców moich,  
Albo mnie się wyparli, albo mnie się boją.  
Jeśli tu zemrzeć muszę, straciłem już  
wiarę,  
by ciało me ktoś nakrył ojczystym sztandarem...  
Smutek szerokobrzegi zalewa mi ścieżki  
że zamiast bagnetem — żalem piszę  
wiersze...

## Kilka słów o spowiedzi

Tak zwane „tematy drażliwe” istnieją nie tylko na forum polityki i zagadnień społecznych. Rzeczy, o których się nie mówi, okrywane dziwną mgiełką wstydlivości, problemy odsuwane „na później” można znaleźć we wszystkich dziedzinach życia. Są to zawsze sprawy w zetknięciu z którymi człowiek musi zdobyć się na odwagę cywilną. Jedną z takich spraw na terenie życia religijnego jest spowiedź.

Może o niej mówić ksiądz (byle nie za często i nie „w towarzystwie”), można o tym pisać w dewocyjnych pisemkach, no, ostatecznie i w poważnym piśmie czysto religijnym. Ale nie gdzie indziej.

A jednak spowiedź, będąc sakramentem, jest jednym z najważniejszych tematów, które powinny zająć miejsce obok innych, zawartych w filozofii chrześcijańskiej, liturgii, czy chrześcijańskiej socjologii.

Przyznać trzeba, że jest to zagadnienie istotnie delikatne, bo dotyka bardzo osobistych spraw człowieka. Ale dla katolika, wszystkie problemy najbardziej nawet osobiste, są nie tylko jego własne, lecz należą do całej społeczności Kościoła.

Nie chodzi tu w tej chwili o wnikanie w samą istotę spowiedzi, chodzi o przypomnienie sobie, że przynajmniej raz do roku jest ona obowiązkiem dla każdego katolika. Że sakrament spowiedzi nie jest jakimś sobie luźnym dodatkiem do nauki Kościoła, ale jest jej częścią konsekwentnie wynikającą i ściśle związaną z chrześcijańską filozofią, z liturgią i całym życiem katolickim.

Aż wreszcie:  
i tak mi dzień kolcami wyrasta ze skroni...

Gdzie indziej błaga:  
...proszę z wiernej piersi  
by mnie na wiatr twój smukły jak na krzyż przybito

niech mną obraca  
kości łamie  
i uśmierci...

Ból, żal i gorycz narastają jednak nową wiarą, przepalają się w piersi i ustach — by wznieść się nie buntem a modlitwą. Mimo tylu nieomal bluźnierstw modlitwy Szewczyka mają ton chyba tylko śląskiej wiary. Wielkość poezji autora „Posągów” zawiera się w tej najdramatyczniejszej ze wszelkich walk — walce o wiarę. Poeta wie, że wiara to nie prosta, bezmyślnie — leniwe przyjęcie tego, co dali, ale to ugruntowanie w sobie prawdy przez trud, wolę i cierpienie.

Bardziej poetyczny, bardziej porywczy Osmańczyk, gdy modli się — mówi:  
Dla serc gorejących, dla serc w miłość  
zbrojnych  
Daj, Maryjo Królowo, żywot niespokojny.

Inaczej Szewczyk, jego twórczość nadto jest pełna niespokojności, a życie wysiłku, by o niespokojność miał się modlić. Prosi inaczej:

Chóry brzoź i jesionów naucz moich  
hymnów  
święta Maryjo Ciszycy...

Lecz zaraz dodaje:  
...zostaw mnie na drodze  
Niech po mnie przejdą wszystkie legiony pobitych.

U Szewczyka problematyka katolicka narasta mocą niebywałą. Nie wiem, czy poza Konopką, jest w tej chwili w Polsce poeta, który równie zawzięcie gotów się „wadzić” z Bogiem i równie gorąco wyznawać swą wiarę.

Porusza się na chmurze niespokojny wróg.  
Gwałt niech się wiarą odciska!  
Gdzie indziej ze zdumiewającą konsekwencją zestawia w modlitwie:  
...broń od nienawiści nas złej i od głodu  
W Szewczyku nie ma nic z patosu, z pozy, z grandaelokwencji. Jest to poezja czysta — najczystsza. Dzięki Bogu, nie brak w Polsce poetów, dobrych poetów. Lecz do ich grona ten syn „górnicygo Krzysztofa” wchodzi jak równy między

równych. Wchodzi tak, jak między ziemię już po raz drugi wyzwoloną, wchodzi po stuleciach dopiero rozkuta z więzów niewoli ziemia Śląska. Pisze Szewczyk w „Pozdrowieniu Odrze”:

Któż to ogniem gwiazd niemieckich  
gasiał

twój szum lecący do sosen?  
Tyś uwiła z tych sennych pierścieni  
Jak Wisła i jak San złotousty i krewki  
Dunajec

tak samo dno się twoje spieni,  
gdy je karabinem poruszyć jak wiosłem.

Poezje Szewczyka i poezje Osmańczyka są odkryciem niebywałego znaczenia zjawiska. Przez poetów przemówił Śląsk a przemówił tak mocno i tak młodo, że nagle zrobiło się nam wszystko rzeczą jasną, iż Polska nie tylko stała się bogatsza o tamte ziemie, ale że Polska stała się także bardziej Śląska. Siła Polski jutra zawiera się w sile jak Śląsk. Wielowiekowy ugor pod ziarno niemieczyny, nie był ugorem. Był siłą i rósł siłą czekania. Umiał czekać. Wieki mijają, historia ciekła wartkim nurtem, a Śląsk czekał. Umiał czekać! Umiał czekać! Choćby setki lat — to i co? Niemcy dziś są, a jutro cztery obce flagi będą wbite w ich gardło. Zaś Polski Śląsk był i będzie.

Bo on jest wychowany na wierze. To, co jest wieczne polskie, to wiara. Nie w to, że gdzieś się wyrównują plusy i minusy historii, ale w to, że gdzieś — i nie gdzieś, ale wiadomo gdzie — jest słusność inna: nie magnetów i nienawiści, pieniędzy i węgla — ale słusność Boża.

...siłę słusności mamy  
I mocą tej słusności  
wytrwamy i wygramy.

Jan Dobraczyński

Eugeniusz Gołębiowski

## Ballada o żołnierzu Rzepie

Od wójta przysłano późno w noc:  
Do pułku! Łyżka, widelec i koc...  
Poszedł i przepadł  
Żołnierz rezerwy Stanisław Rzepa.

Rumuńskim sianem  
Maczyny pachniał mu ranek  
I, choć ziemia ojców była taka bliska,  
Inaczej szeleściły rzyńska,  
Inaczej śpiewały ptaki nad brzegiem  
Dunaju  
Niż w kraju.

Gdy deptał skrwawione śniegi  
W samotnym fiordzie Norwegii,  
Któs w ramię go poklepał:  
Splendid! Mister Rzepa.  
Marzłó w nim wówczas serce  
I marzła gorzałka w manierce.

Maginot głucha i ślepa  
Bez przerwy warczała: ne pas —  
A grzmiał z cekaemu Rzepa  
I kosił jak chłopska śmierć  
Pod Salins-Moutiers.

Kołysała go do snu  
Słodka dąbrowa pod Lamalou  
I krzeszały zwycięstwa nadzieję  
Kościołkami dzwoniące Pireneje.

Gdy brał sztandary na libijskich  
stepach,  
Wołano: Niech żyje Rzepa! —  
A on się puszył i z miną hoplity  
Przyjmował wojskowe zaszczyty.

Aż w pewien wieczór gwiazdzisty  
Któs pocztą dostał konieczyńki listek  
I wtedy się żołnierz Rzepa rozczulił  
I list napisał do swej matuli,  
List zaprawiony łzą niemęską,  
Że mu dobrze, ale... tęskno.

Pod Monte Casino sztandar okryła  
krepą.  
To złożył broń żołnierz Stanisław  
Rzepa.

I, choć rozpięto nad nim swe skrzydła  
zwycięstwo,

Jemu tęskno,  
Bo noc inaczej zawisa  
Na smukłych Italii cyprysach,  
Inaczej płyną  
Fale wieczności nad Monte Cassino,  
Inaczej anieli tam śpiewają  
Niż w kraju.

Katarzyna Woźniakowska

Andrzej Augustowski

# Białe gwiazdy U.S.A.

Okrągła chmura o miękkich, zielonkawych brzegach podniosła się nieoczekiwanie, jak kurtyna w teatrze, i biały księżyc zawisł nad lasem. Wtedy odkryta szosa wydłużyła się nagle i uciekła spod nog, smukłe świerki, z których opadła noc, wyrosły naokoło jak greckie kolumny, kumkania żab z mijanego jeziora otoczyły idących śpiewnym nawoływaniem. Rudy podniósł oczy do góry i, odpędzając wszystkie myśli, pozwolił się uwodzić księżycowym urokom. Z rękami w kieszeniach gapił się w niebo, uśmiechając się i mrużąc oczy, jego płomienne włosy przemieszały się dziwnie ze światłem księżyca, idący obok Colt powiedział uprzejmie:

— Potkniesz się i rozbijesz mordę.

Rudy mówił powoli:

— Patrz w księżyc. O niczym nie myśl. Poddaj mu się. Będziesz szedł jak luna-tyk, kilometry przestaną istnieć.

Colt roześmiał się cicho.

— Tralala... Nogi mi już wrosły w siedzenie, na to nie pomoże żaden księżyc.

Szli dalej. Ciągłymi za sobą drętwymi, chybliwymi nogami i upartą nadzieją, że przetrzymają, muszą przetrzymać tą ostatnią ewakuację. Któryś na przedzie zaczął gwizdać przez zęby. Początkowo były to jakieś rytmiczne, skandowane dźwięki, które w pewnej chwili ułożyły się w melodię.

— Co za księżycy były kiedyś na Starówce, pamiętasz Colt? — westchnął Rudy.

— Ile ich było? — mruknął tamten.

Szli. He, Du, Verfluchter... zurück! — wrzasnął nagle jeden z postów. Pewnie ktoś wyszedł z szeregu. Podoficer przebiegał obok kolumny. Jego twarz, którą francuski granat pod Verdun przefasował na bezkształtną maskę, zarysowała się w księżycu, jak widmo. Frankenstein — powiedział Colt. Kołyszą się plecy. Księżyc rozwija jak ze szpulki białą, niekończącą się drogą. Drzewa zostają w tyle. Nagle odsłonięty horyzont uderza ciepłym podmuchem wiatru i ukazuje kilka planów wzgórz, ułożonych jak płaska dekoracja. I wtedy właśnie, tam, daleko, przebiega jaskrawy, czerwony błysk.

— Widziałeś? — pyta Rudy.

— No, więc co? — rusza ramionami Colt.

— Wałą z dział. Amerykanie podchodzą od północy.

Podniósł się szmer. W jednej chwili starły się dwa poglądy. Jedni dają głowę, że to armaty, wymieniają kaliber i odległość, na jakiej się to dzieje, informują się wzajemnie, że wobec tego „jesteśmy otoczeni przez czołówki amerykańskie i jutro...”. Inni głąszą ich ironią: tak, tak, to armaty, bateria świętego Piotra. Ruhe! — krzyczy podoficer. Ruhe!! — powtarzają w tyle żołnierze. Księżyc świeci wciąż jak lampa. W oddali przelatują nowe błyskawice. Potem stłumiony huk kołyszce nocą. Strzelają! Coraz bliżej! Na to sceptycy: szykować parasole.

Nisko, w głębi pociemniałe niebo rośnie powoli i zaczyna iść ku nim gęstą falą. Milkną Droga opada łagodnymi łukami, znaczącymi kolumnadą betonowych słupków. Z lasu, w który znów weszli, ciągną fale wilgoci, gdzieś tam w dole szosa zdaje się urywać.

— To już chyba Dunaj — odzywa się Colt.

— Dunaj — potwierdza Rudy.

Nagle twarz Colta niknie, zdmuchnięta ciemnością. Księżyc chce się jeszcze przebić, ale wkrótce tonie w burej pomyrcy, zapada się, kapryśny, porywisty podmuch wiatru gasi go jak świecę. Robi się czarno. Utrwalona w pamięci, a obecnie przeżywana jedynie słuchem ściana lasu budzi się i szarpie w gwałtownych drganiach.

— Hej, Colt!

— Jestem tu!

— Nie zgub się, do diabła, gdzie jesteś?!

Zielona przeraźliwa błyskawica tnie ukośnie ciemność. Ołymi drzewa rozdygotane i miotające się na niebie stają w białych płomieniach. Colt szeroko wytrzeszczonymi oczami widzi zamykającą szosę wał barykady przeciwczołgowej i

zmieszanych z niemiecką eskortą kolegów, którzy rozczapierzeni jak ptaki krążą po szosie, rzucając wicher. Ludzie wpadają na siebie, chwytają się wzajemnie, chcąc zdobyć równowagę, ale nowe szarpnięcia roznoszą ich i gubią w nocy. Ktoś tam urywanym krzykiem objaśnia, gdzie jest przejście koło barykady. Czepiając się belek i kamieni przelażą pomacku na drugą stronę.

W alei wielkich drzew gnany wirem powietrznym Rudy wspomina niedawne rozczarowanie, które przeżył wraz z innymi, kiedy wytęskniona artyleria amerykańska okazała się gwałtowną burzą kwietniową i nagle odnajduje w sobie nielogiczny ładunek napiętej radości. Gdy ta prymitywna i odruchowa radość życia, sprowokowana przez urzekającą potęgę żywiołów, dochodzi do zenitu, smagany potokami wody chłopak wydarze w wiatr i noc wysoki krzyk swobody, brzmiały, jak zew zwierzęcych bohaterów Curwood'a. Koło niego zataczają się inne cienie, nad sinoniebieskim Dunajem olbrzymi czarny most wisi jak pajak, ziemia trzęsie się w piorunach.

Colt na śmiesznie niepewnych nogach obejmuje jakiś pień i opierając o niego głowę, dyszy ciężko. Po plecach pod koszulą płyną szybkie strumyczki wody, gorączka, która wróciła znów od pierwszych dni tej morderczej ewakuacji, zaczyna go chwytac w na zmianę gorących i lodowatych dreszczach. Przymknął oczy i przytulony do drzewa, trwał bez ruchu.

Gdzieś po drugiej stronie rzeki, podobny do śnieżystej gałęzi piorun spał niebo z wysmukłą wieżą gotycką. Jak w błysku magnezji ukazał się ostry profil miasta. Wtedy Coltowi przypomniło się inne miasto, bez wież kościelnych, czarny stos. Z mroku wychodzili: jego matka, młodszą siostrą i brat, których rozniósł wybuch tankietki na Podwalu, za nimi ojciec, zamordowany przez Ukraińców. Spoglądali ku niemu, twarze mieli blade, jak świt. Colt zacisnął zęby. Ktoś szarpał go za ramię.

— Czego chcesz? — jęknął półprzymkniętym.

— Dołącz do reszty, szybko, — mówił Stach — jak tylko minie burza, przechodzimy przez most.

— Daj mi spokój... — szepnęła niechętnie.

— No, ruszaj się, bo cię który post sprzątnie, zresztą liczą.

Colt oderwał się z wysiłkiem od drzewa. Deszcz zaczął gęstymi falami, ale wichura uspokoiła się trochę. Błyskało się już dalej. Od czasu do czasu toczył się po niebie ciężki grzmot. Wszyscy stali w milczeniu pod jakimiś budynkami, Niemcy gadali między sobą, świecili latarkami po twarzach jeńców, podoficer liczył. Trzech brakowało. Będą złapani i rozstrzelani — powiedział tak, jakby mówił: zabięci w lesie i dostaną kataru. Ja, ja, naturalnie... — wtrącił poufale tonem Leszek, który nawet teraz nie tracił okazji do żartu. — Dumme Lumpen... Colt rozejrzał się. Zdawało mu się, że słyszy kaszel Rudego. Rudy! — zawołał. Hej! — odpowiedział cieniem i zbliżył się. — Myślałem już, że zwiataś. W głosie brzmiała ulga. Colt wziął go za ramię. Nagle od strony mostu odezwały się głosy i dźwięk rozchlapujących wodę kroków. Podoficer wyszedł na drogę i zapalił reflektorówkę. W jej okrągłym świetle zobaczyli kilkunastu Niemców w hełmach z podwójną błyskawicą. SS, psia krew — mruknął ktoś.

— Was sind das für Leute? — zapytał oficer SS.

— 52 Mann, Partisanen aus Warschau — meldował dowódca eskorty.

— Aus Warschau... — powiedział wolno tamten. On i jego ludzie zbliżyli się. Rozbłysły latarki. Chłopcy spoglądali mrocznymi oczyma. I stali tak naprzeciw siebie, obserwując się wzajemnie, oni, gwardia III-iej Rzeszy, sypiące się teraz w proch pod ciosami alianckich armii i ich najzaciętsi wrogowie — warszawscy powstańcy. Oficer zaożył ręce do tyłu. Papieros żarzył mu się w skrzywionych wargach. Wreszcie rzucił go i powiedział krótko:

— Sie werden erschossen.

Odchodzili. Warschau... — zabrzmiało jeszcze parę razy w deszczu — Warschau... Szumiał deszcz. Za mostem paliło się niebieskie światło.

— Tak... — odezwał się cicho Colt.

— Co mówisz — zapytał Rudy. Oddychał szybko. Colt wzruszył ramionami.

— Cóż, śmieszne.

Rudy mruknął:

— Wariat.

Czekali, zbitci w gromadę. Postowie, widocznie na rozkaz esesowców, zakładali z pośpiechem bagnety. Trudno im było trafić potiemku, chrzęścił żelazem i kłeli. Podoficer odchodził i wracał. Wreszcie kazał im iść. Most był długi, ledwo widoczny Dunaj szumiał pod nimi, nie wiedzieli, co czeka ich na tamtym brzegu, tak weszli do miasta. Ulice ciągnęły się w górę. Na placu stały szeregi wojskowych samochodów. Minęli oddział żołnierzy różnych broni, niosących kilkanaście panzerfaustów, którzy rozmawiali głośno. Mówili podobno, tak twierdził Janek, że most będzie w nocy wysadzony.

Kolumna wlokła się coraz oporniej. Ubrania, przylepione do ciała jak kompres, przenikały zimnem, spleźniałe od wody plecaki gniotły kości, głód ssał w żołądkach. Coltowi latały przed oczami mętne plamy. Potknął się raz i drugi. Rudy wziął go pod rękę.

— Trzymaj się, jeszcze do jutra, musimy!

Już, już Colt chciał uzależnić się, jak rozkapryśzone dziecko. Ah, jutro, ciągle jutro i jutro... Ale się pohamował.

— Trzymam się — mruknął.

— Weg! — wrzasnął z tyłu wartownik. Któryś z chłopców jęczał jednostajnie. Mijali ostatnie domy miasta. Nadzieja na odpoczynek skończyła się. Ale zato, co było dziwne i niezrozumiałe, niesli jeszcze głowy, a każdy trudny krok oddalał ich od mostu i esesowców. Można iść z zamkniętymi oczami. Na nosie gromadzą się krople deszczu i skapują w dół. Lepiej iść w nogę. Lepiej każdy sobie. Ah, jakos trzeba iść. Dalej, jeszcze kilometr, jeszcze pięć. Colt zaciska usta. Nikt tam na niego nie czeka, do kogo wróci? Chyba tylko, żeby powałęsać się po gruzach Starego Miasta, odnaleźć tę piwnicę, w której Maria opatrywała mu nogę, przeczytać na fragmencie muru byłego domu przy Daniłowiczowskiej wydrapane nożem fińskim słowo: **Podchorąży „Colt”, Powstanie Warszawskie, sierpień 1944.** Chmury idą nisko. Naokoło las. Możeby tu zostać — myśli Colt. Niemiec idzie kilka kroków przed nim, nie byłoby to trudne. Ale za chwilę zapomina już o tym matka gładzi go po głowie i mówi: nie biegaj tak w samej koszuli, synku, zaziębisz się. A on na to: ciepło mi, mamusi, bawimy się w konie. Eskortta nie wie, co z nami zrobić, myśli Rudy, naokoło Amerykanie, muszą nas wreszcie zagarnąć, to nie może tak trwać. Idą godziny. Pod łukiem bramy w jakimś miasteczku kroki dudnią głucho. Spod wolno odchylających się powiek widzą uchylone drzwi, a dalej jasny pokój i ludzi, siedzących przy białym stole. Znów pola. Trwa to bardzo długo. Idą półprzymknięci. Kilku urywa się w lesie. Tylko biedny Głóg, chywycony w ogień peemu podczas lekkomyślnego skoku przez rów, zsuwa się z płacziwym jękiem na dno i kończy marsz.

We wsi zatrzymują się. Podoficer rozmawia długo z grupą bauerów. Potem leci wiadomość: tu już zostajemy. Trudno w to uwierzyć. Wszyscy stoją na środku drogi jak martwe słupy, nikt nie pcha się, by zdobyć lepsze miejsce do spania, nikt nie dopytuje się o szczegóły. Wpuszczają ich do ciasnej stodoły, gdzie panuje zupełna ciemność, i zasuują odrzwia. Colt i Rudy kułają się pod ścianą. Przekleństwa chłopaków, którym ktoś ładuje się na głowę, zmieszały się z kaszlem i jękami Jurka, wijącego się w boleściach. Zapomniany podczas drogi głód zaczyna chwytac i męczyć. W ciężkich snach, mającach i przywidzeniach, w jęku i febrze wlece się i mija ostatnia noc kwietniowa. Majowy świt, który wsuwa się szczylinami do środka stodoły, lituje się nad grupą chłopców, rzuconych na ziemię w dziwnych pozach, często śmiesznych, częściej wrzuszających.

Colt budzi się. Obok Rudy we śnie, z otwartymi ustami, jak ryba chwytająca powietrze krótkim, nieregularnym oddechem. Rozmazane na twarzy błoto zmienia jej wyraz. Colt przesuwa wzrokiem po kolegach. Przeżył z nimi wiele. Zastanawia się, jak oceniliby ich wszystkich, gdyby przyszło mu pisać wspomnienie o tych złych czasach niewoli, o których chciałby zapomnieć. Wtedy podejrzewa, że poprostu chciałby o tych ludziach także zapomnieć, oddać ich przeszłości, pożegnać na zawsze. Jego życie będzie samotne. A może wróci Maria?

\*

Roman, komendant grupy, którego Niemcy wypuścili ze stodoły, aby przypilnować chleba do rozdziału, wraca pełen niepokoju. Wszyscy obkaskują go natychmiast. A więc jakaś kobieta mówiła mu, że Amerykanie są niedaleko, podobno w mieście, które oni minęli w nocy, a poza tym — zobaczcie na drodze. Rzucają się do szpar. Drogą ciągną Niemcy. Idą pieszo i jadą na wozach. Cywile i wojskowi. Są jeszcze uzbrojeni, ale już bezładną bandą. Niepewne twarze, rozglądają się na boki. Ucieczka, Kłeska. Chłopcy zaciskają pięści. Nerwowa radość, jaka zaczyna rosnać tego dnia, jest nieopanowana, gotowa do szaleństwa. Naokoło stodoły kręcą się postowie. Podoficer zapala papierosa jednego po drugim. Ogląda się gdzieś ku wzgórzom, sąsiadującym ze wsią.

Wtedy Mrok odzywa się żarliwie:

— Eh, słuchajcie, mamy przecież przescieradło i tamtą hitlerowską płachtę z teatru. Pamiętacie? Obiecywałem sobie, że będzie z tego nasz sztandar. Myślę, że czas o nim pomyśleć.

Rudy, który wdrapał się wysoko na belki, i wyjawszy dachówkę, bada okolicę, woła nagle głosem, który naprzód chce zachować pozory ostrożności:

— Rany boskie, wieją biegiem, już pu- sta szosa, i... słyszycie?

Na chwilę wszyscy zamierają w napięciu, zaszuchanym oczekiwaniu. Colt porównuje to z ostatnią sceną z „Wesela”. Wtem przez wrota z zewnątrz wpycha się Roman.

— Chłopcy — mówi łamiącym się głosem, starając się panować nad sobą. — Rozkazuję zachować spokój, macie siedzieć tu do końca... Mogą strzelać... Nie bądźcie dziećmi...

Otaczają go zdyszane oddechy.

— Kto ma strzelać? — pyta z wysiłkiem Stach.

Roman przeryka ślinę i zanim udaje mu się odpowiedzieć, wszyscy słyszą nagle daleki bardzo, grający rytm motorów. Kilku pryska do ścian, zaczynają się drapać na górę. Inni stoją w miejscu jak urzeczeni. Roman kończy:

— Zbliżają się Amerykanie, mogą strzelać, czekać na mój sygnał, nie wychodzić...

Mrok chwytca swój plecak, zaczyna rozrywać sznurek, ale ten opiera mu się, szarpie go więc i rwie, Colt widzi, jak jego wykrzywione wargi i błysk zębów. Wyciąga wreszcie przybrudzone prześcieradło i kawał czerwonego materiału, który zabrał przewidując podczas noclegu w jakimś teatrze, przybranym flagami ze swastyką. Nici! — rzy się. — Szybko! kilku pomaga mu jeden przez drugiego. Mrok znajduje kij, który nosił dotychczas dobre, niemieckie grabie, przywiązują do niego chorągiew. Barwy jej działają, jak odurzający zapach, jak muzyka albo widok domu.

— Chłopaki! — wrzeszczy pod dachem Rudy. — Czołgi zjeżdżają z gór! Pięć, osiem, dwanaście!!

— Stać! — woła Roman, gdy rzucają się ku wyjściu. I powtarza: — Nie bądźcie dziećmi!... Ale oni są znów dziećmi, nieopanowanymi dziećmi z warszawskich barykad, porywają sztandar i szturmują jak szaleni na chybliwymi, wysokie wrota, które pękają z trzaskiem na obie strony.

Droga pusta, postów ani śladu, gdzieś z boku huczą motory, niesiona przez Stacha chorągiew trzepocze na wietrze. I nagle w głębi drogi, za zakrętem zaczyna rosnać dygoczący warkot, wszyscy chwytają wzrokiem ten zakręt, wpijają się w niego drapieżnie, wyżej! wyżej sztandar! — wrzeszczy Roman, Mrok żegna się i chwytca za głowę, a Rudy z wyrzuconymi historycznie ramionami krzyczy, jak podczas nocej burzy, gdy naprzeciwko nich wypada zza zakrętu potężny czołg w BIAŁYCH GWIAZDACH USA i rwie na-

przód ze zgrzytem gąsienic. Z jego wieży, oparty o przeciwnotniczy ckm, młody Amerykanin w hełmie, zsuniętym nie-dbale na tył głowy, podnosi z uśmiechem rękę i woła poprzez ryk motoru

— HALLO, POLSKI!!

Stach macha wariacko sztandarem. Pędzą następne czołgi, obwiązane od góry płachtami żółtego płótna, będącego znakiem dla własnych lotników, ziemia pryska spod łańcuchów, błękitny dym zawisa nad drogą. Rudy potrząsa rękami, złożonymi na sposób bokserów amerykańskich, lzy ciekną mu z oczów, mieszają się z błotem. Z twarzą, jak maska, krzyczy:

— USA! USA! Vivat! New York!

W pewnej chwili mała terenówka z oficerami zatrzymuje się w pobliżu. A-

J. W. W.

## Listy z Krakowa

Pytacie — od dawna — co słychać w teatrach krakowskich? Dużo by o tym gadać; czekałem na właściwą chwilę, żeby Wam donieść to i owo: Wydaje mi się, że nadszedł moment odpowiedni: idą jednocześnie cztery polskie prapremiery! U Słowackiego: „Zamach“ Brezy i Dygata. U Adwentowicza (Teatr Powszechny) „Dwa Teatry“ Szaniawskiego. W „Starym“: „Jazon“ Artura Marja Swinarskiego i „Jajko Kolumba“ Flukowskiego. (Grywano już po Offlagach te ostatnia sztukę w całkowicie męskiej — rzecz prosta — obsadzie!). Wkrótce zapowiada się jeszcze „Droga do Świt“ Bondana Pełpowskiego z muzyką Stefana Kisielewskiego.

Nie bardzo wiem, czy w związku z tym świeżym powiewem należy już wydawać entuzjastyczne okrzyki? Rok temu — zdawało się — wchodzimy w nową erę teatru: szedł „Mąż Doskonały“ Zawieyskiego, dyskusje wrzały, ścierały się poglądy, uczniowie studia dramatycznego wystawili kapitalną parodię tej sztuki. Cóż było potem?... Kozłowski nazwał pierwsze miesiące odzyska scen polskich (luty — wrzesień 1945) „sezonem zawieszonych nadziei“. Byłoby może niesłuszne stosowanie tej oceny na przestrzeni całej działalności teatrów krakowskich. Ale rzuca się w oczy zmartwienie zasadnicze: fatalna alternacja sztuk dobrych i sztuk kasowych odbiera repertuarowi wszelką linię ciągłą, wartość i ciężar gatunkowy. Obok rzeczy nowych były i znakomite wznovienia: naprzykład „Prze piórka“ (Osterwa! Karbowski!), albo „Zemsta“ (Solski! Cwiklińska! Leszczyński!) — ale potem wyciągano na światło dzienne takie „Króla“ Flera i Caillaveta, w którym marnowali się Jaroszewska i Leszczyński — i doskonałe dekoracje Frycza. Coprawda na „Królu“ śmiałyśmy się wszyscy szalenie z dewcipów o demokracji — ale to niewielka pociecha, szczególnie, że śmiech trwał przez pierwsze dwa, może nawet trzy akty. Potem — już było nudno.

Ha! To są właśnie te konieczności ekonomiczne, które czasem istotnie warunkują „nadbudowę“ duchową — jak mają wiały materiałisci...

Ala wróćmy do czterech prapremier. „Zamach“ Dygata i Brezy. Wycinek konspiracji warszawskiej — na tle najtypowej w świecie warszawskiej knajpki: pierwszy akt żywy, soczysty błyskotliwy wprowadza nas z miejsca w gąszcz powikłań i w nastrój, który wszyscy chyba znamy doskonale. Zapominamy, że to scena; wszakże i ten aferzysta, i dzielna panienka z za bufetu i wesoly riksziarz, i złowroga zjaw patrolu niemieckiego za matowymi szybami — wszyscy — to nasi dobrzy znajomi. Pianka konspiracji, to — co tryskało na powierzchni podziemnego życia stolicy jako niefrasośliwy humor, ryzykancka brawura i śmieszność przeróżnych figur i sytuacji — cieszy nas w tym doskonale zrobionym skeczu, jakim jest pierwszy akt, zostawiając nas w napięciu: co dalej? Dalej — zblizamy się do spraw poważnych. I tu zachwiewa się równowaga sztuki. Tam, gdzie podchodzimy do jądra akcji: do zamachu (padają nazwiska — symbole: Kutschera, Hahn) — tam wracamy nagle z życia na scenę. Nie wystarczy wartki nurt dramatyczny, byśmy nie dostrzegli, że w miarę jak upływa czas, rośnie dysharmonia między atmosferą sztuki a jej tematem. Wydaje mi się, że twórca dotykający powierzchwnie rzeczy ważnych, jeśli trwa dłużej (3 akty!), bierze na siebie odpowiedzialność — artystyczną — pogłębienia się w problematyce i w nastrój w miarę „pogłębienia się“ w czasie. Jeśli nie spełnia tego warunku, jego rozbudowanie jest formalnie niesprawiedliwe. Dowiecny felieton o konspiracji mógłby być doskonały (tylko — może już lepiej bez poważnych „wstawek“); ale wątpię, żeby można było pisać o niej powiesz humorystyczną. Mam wrażenie, że na tym odcinku „Zamach“ przekroczył należyte proporcje. Sensacyjno-dydaktyczny happy — end (idylliczny, jeśli chodzi o aferzystę, skończonego szubrawca!) drażni nasz zmysł rzeczywistości, tak doskonale rozbudowany pierwszym aktem. Efektowne skróty, uproszczenia i komolucje sceniczne uderzają nagle niemiło w światło tego całkiem fantastycznego i naciągane zakończenia. (Jeśli chodzi o kapitana Mewę, to przepaszam — ale

Amerykanie nie bardzo się widocznie orientują, co to za wrzaskliwa, błaznująca gromada obszarpanców biegnie naprzeciw. Z samochodu z napisem „Shirley“, wysuwają się ostrzegawczo lufy peemów. Wtedy Roman zatrzymuje wszystkich i wypycha małego Pioruna, który chwalił się czasem znajomością angielskiego: — Eh, ruszaj się, powiedz im!

Chłopiec podchodzi do samochodu. Tamci patrzą na niego znad luf.

— We — słycać jego zmieniony głos — we are polish, polish soldiers from Warsaw... eee... prisoners of war...

Amerykanie kiwają głowami. Powtarzają:

— O, polish...

Lecą z czołgów paczki Chesterfield'ów i Marveis'ów. Amerykańscy boys po-

domyślałem się od początku, że to właśnie pan Frankowski, restaurator).

Najkonsekwentniej rozwijającą się postacią jest Niemiec, który w miarę upływu czasu i pogłębienia się akcji przeobraża się z rubasznego „życzliwego dla Polki“ szefa Arbeitsamtu, w budzącego dreszcz obrzydzenia i grozy Geheimplatzpolizeimitgliedera. Groteskowe odstońnięcie kulis jego życia „rodzinnego“ może nawet powiększa wrażenie jego — powiedziałbym — „integralnej“ bydlęcości. Szkoda, że banalne efekciarstwo zakończenia zamazuje to wrażenie. Woźnik grał go świetnie. Inne postacie zarysowane bardzo inteligentnie i efektownie, z komediowym — czy raczej farsowym — zacięciem do typizacji. Aktorzy przeszli samych siebie.

Parę dni później poszedłem na „Dwa Teatry“. Pamięć o „Zamachu“ rozwiła się, zjechała, przepadła. Doprawdy, nie bardzo śmiem mówić o sztuce Szaniawskiego. O teatrze można nieskończenie — każdy to „potrafi“: wiadomo; gdzie koniekuja, żaba nogę nadstawia. Więc tylko ukradkiem zaglądam do czarodziejskiej kuźni mistrza. („Kuźnia“! To jedynie fatalna konsekwencja tego przysłowia z kućciem. Należałoby mówić o tajemniczej, alchemicznej pracowni...)

A więc — w prymitywnym skrócie: Dyrektor teatru „Małe Zwierciadło“ wystawia tylko realistyczne jednoaktówki. Nic dziwnego, że waha się wystawić sztukę, w której walące się miasto grzebie pod gruzami bohaterkę: — Kto kiedy widział walące się miasto? Wrażenie może być niesmaczne... I całkiem zdecydowanie odrzuca dziwne jakieś pomysły drugiego autora: — co to naprzykład jest „Krucjata dzieci“? I jeden i drugi twórca stoją poza realizmem...

Ala dyrektor interesuje się snami. Naukowe.

Akt drugi: dwie jednoaktówki w „Małym Zwierciadle“. Okropna matka strzeże bezlitośnie szczęścia (?) córki, podczas gdy zięć „patrzy przez okno“ na cień innego życia, na cień wspomnień. (Czy naprawdę: szczęścia? Ale ten znak zapytania, to dopiero akt trzeci...). Następna jednoaktówka: syn, ratując z powodzi dziecko, żonę — i wreszcie siebie (umie kierować łodzią; więcej miejsca nie ma) — uderza wiosłem ręce ojca, uczepione rozpaczliwie brzegu tej łodzi.

W akcie trzecim odnajdujemy dyrektora w powojennych ruinach. Planuje odbudowę „Małego Zwierciadła“. Zaspia. I wtedy — ukazuje się zjawiskowy, wyfraczony, w baletowych ruchach — dyrektor Teatru Snów i poległy w walkach autor dziwnej „Krucjaty dziecięcej“, i bohaterzy jednoaktówek i dzień — z krucjaty...

Ten akt trzeci rozwija się na dwu poziomowej scenie, w zmiennych rytmach wypowiedzi, w ruchach grup i postaci, które światło — jak pałeczka dyrygenta — wywołuje z ciszy i mroku, w muzyce słowa: rozwija się jak symfonia. Tutaj wazą się problemy istotne, przychodzi do głosu czynnik intra- czy ultra-rzeczywisty. Syna-ojcobójce rozgrzeszyli ksiądz i sędzia; nie rozgrzeszyło go sumienie. Miasto przyszłości powstaje w snach artysty, zanim okrzepnie w kamieniu i żelazie. Dyrektor, wskazując dzieci w hełmach, woła: „Z motyka na słońce!“, ale właśnie ten jego gniew ma cenę, niewyrażalną w teatrze realistycznym... Nastrój aktu trzeciego ustawicznie przekracza punkt kulminacyjny, do którego — zdawałoby się — dochodzi co chwila, i może pod koniec są pewne dłużyzny — podczas których opada jakby nasze napięcie i mgiłsto rysuje się wątpliwość: czy można tak splecać sprawę wartości pozamaterialnych, które są przeciwieństwem dla nas równie istotne, jak najbardziej dotykająca rzeczywistość, za sprawą — snów? Pewno nie zawsze zgadzamy się z myślą autora. Ale może właśnie owo pomieszanie jest jednym z elementów urzekającej poezji „Dwóch tetrów“? „Tylko głupiec doszukuje się wszędzie konkluzji“ — tak mniej więcej powiedział kiedyś Flaubert...

W końcu — zjawia się Lizelotta, którą dyrektor kochał głęboko — i dyrektor umiera we śnie. A potem budzi się znowu w świecie realnym — on, który dowodził, że sny są odbłaskiem nieurzeczywistnionych naszych tęsknot; nadziei...

Każdy akt ma odmienną, własną atmosferę; inaczej pobudza do myślenia;

zdrawiają sprzymierzonych półokrągłym ruchem rąk. Hallo, polski!

Colt, oparty o drzewo, przelatuje myślą od tamtego pierwszego sierpnia, gdy szedł ze swym plutonem na pierwszy wypad w Krakowskie, poprzez walkę, śmierć najbliższych i niewolę do tego 1-go maja i uśmiecha się, pełen refleksji: to życie, to życie.

Rudy ziapał przyjaciela za szyję.

— Stary! Mówiłem ci, że przyjdą jutro! I są, o Boże, doczekaliśmy!

A gdy Colt milczy, potrząsa nim silnie:

— No, ciesz się u licha!

Colt roześmiał się cicho:

— Umyj się, wyglądasz, jak małpa.

Andrzej Augustowski

każdy zbliża nas od innej strony do tych samych zagadnień: poprzez spokojne, rzeczowe, błyskające dyskretną iskrą dowcipu dialogi aktu pierwszego, poprzez wstrząsające sceny „Matki“ i „Powodzi“ aktu drugiego (niesamowita muzyka Klucznika powróci, jak echo, w zakończeniu całości) — aż do tego przedziwnego snu, który zamyka i tłumaczy sztukę. Bardzo piękne, bardzo poważne przeżycie.

Jedźmy dalej.

„Jajko Kolumba“ Flukowskiego — to zdaje się coś między rewii, komedią muzyczną i farsą; przynajmniej ze wstydem, że na tym nie byłam.

Ala za to z wysokim czołem stwierdzam, że nie byłam też na „Jasonie“. I chyba nie pojde. Otwórcie pierwszą z brzegu gazetę krakowską. Piszą o „Jasonie“. Kto pisze? Artur Maria Swinarski. Geneza; myśl przewodnią; budowa; co tam jeszcze trzeba wiedzieć przy „rozbiorze“ literackim — wszystko to objaśnia nam Artur Maria. A przede wszystkim wartość. Zapoznaną wartość własnej sztuki. I przy okazji załatwia się z krytykami. „Pi! paf!“ — jak mówi piosenka o biednym zajączku. Pomyslecie: gdybym poszedł na „Jasone“, a nuż bymnie wzięta chętką coś na ten temat powiedzieć. Nie jestem fachowym krytykiem, ani nawet amatorem-znawcą (Nietrudno zauważyć). Piszę do was po prostu, jako ktoś z publiczności. Jeden z tych, co strasznie lubią chodzić do teatru, kiedy się da — i chcieliby podzielić się wrażeniami. Otóż: piszę słowo o „Jasonie“ — a tu wyskoczy Artur Maria: pi! paf!... Stanowczo, za wielkie ryzyko.

Jest jeszcze w Krakowie teatr „T.U.R.u“. Jego linia... rozwojowa zaczęła się od Iwaszkiewicza: „Lato w Nohant“. Teraz grają: „Muzyka na ulicy“... Szurka...

Jeszcze: Teatr Lalki i Aktora „Grotekska“, który wędnie powoli i umiera... Wielka szkoda. Byłem kiedyś na zebraniu „Przyjaciół Lalki i Aktora“, które zorganizował niestrudzony dyrektor Jarema, broniąc się rozpaczliwie przed katastrofą finansową. Biegał, agitował, reklamował, prosił, objaśniał. Z apostołskim zapałem tłumaczył epokowe znaczenie swojego teatryku. Dał przykład, jak trzeba się stosunkować do pracy, jak przejąć ważnością swego pozornie — albo nawet istotnie — skromnego odcinka. Zapalał swoim ogniem ewentualnych mecenasów: niestety, na krótko... Potem było przedstawienie kukiełkowe: „Szewczyzna - Dratewka“. Pełne wdzięku, jakże nieraz pomysłowe próby inscenizacyjne i reżyserskie błyskały na scenie, jak iskry w prymitywnie jeszcze urządzonym, małym laboratorium. Zdaje się jednak, że dyrektor Jarema wołał — na puszczy...

Na małej sali Starego Teatru ma powstać nowa scena: „Teatr satyry i wdzięku“ pod nazwą: „U Autorów“.

## Przegląd kulturalno-naukowy

Sledząc od dłuższego czasu regenerację polskiego świata kulturalnego po okropnej okupacji niemieckiej, sledząc powstawanie do życia na nowo polskiego świata naukowego w formie szkolnictwa wyższego oraz instytucji i towarzystw naukowych, to napelnia nas radość z powodu niezłomnego i twórczego naszego ducha narodowego, który spowodował tak szybkie postępy w dziedzinie odbudowy naszego odcinka kulturalnego, jako jednego z przejawów naszego życia. Sledziliśmy zwłaszcza z radością odbudowę życia kulturalnego w Warszawie, gdzie mimo szalonych trudności natury moralnej i materialnej, odbudowa na tym odcinku szła równie szybko, jak i w innych ośrodkach i centrach naukowych i kulturalnych. Mimo zniszczeń, w jakim się znajduje Warszawa, istnieje w jej obrębie szereg wyższych uczelni, odbudowano biblioteki i muzea oraz powołano do życia z powrotem szereg poważnych instytucji naukowych i kulturalnych, które mają charakter lokalny lub ogólnopolski, wynikający ze struktury Warszawy, jako Stolicy. Od dłuższego czasu więc z niepokojem oczekiwaliśmy na wznowienie działalności Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które tak szeroko po-

Dużo tego, prawda? I nie ręczę, czy czegoś jeszcze nie opuścili. Naprzykład — niedawno dopiero uświadomiłem sobie wspaniałe afisze „Teatru kolejarza“. Odchodzi tam „Wojna z Babami“, dalszy ciąg „Krowoderskich Zuchów“!

I wreszcie: „Teatr Rapsodyczny“. Last — not least. To scena, która jest jedną z najpoważniejszych pozycji kulturalnych Krakowa. Każda premiera znaczy etap na drodze nieporównanych osiągnięć artystycznych — i wartości prawdziwie społecznych. Przedstawienia odbywają się w południe, sala jest pełna młodzieży, jak dotychczas przeważnie gimnazjalnej, która chłonie wiekłą poezję, podaną w atmosferze — nie mogą znaleźć innego określenia: istotnie, integralnie klasycznej. Oddajmy głos twórcom tego teatru, d-rowsi Kotlarczykowi, który tak pisze w pierwszym programie: „Co to jest Teatr Rapsodyczny? Narodził się z zachwytu nad „Królem Duchem“. Rapsodami Słowackiego rozpoczęliśmy w r. 1941 działalność i stąd nazwa... Głównym punktem wyjścia dla Teatru Rapsodycznego jest założenie, że tekst poetycki powinien być raczej słuchany niż czytany, bo w czytaniu przepada cały czar dźwiękowy poezji, przepada cały czar rytmiki i muzyki słowa... Wizualnie rzecz biorąc, jest to teatr statyczny... Całe t. zw. otoczenie sceniczne, a więc zarówno kompozycja muzyczna, jak i plastyczna, potraktowana zawsze ascetycznie i drugoplanowo i spełnia rolę tła dla dominanty w tym teatrze, dla słowa. Natomiast biorąc rzecz emocjonalnie — jest to teatr dynamiczny. Ma swoją linię uczuć, ma swoją uczuciową akcję, ma swój teatralny sens. Recytacje monologowe, dialogowe i chóralskie są powiązane ze sobą ściśle w pewną teatralną całość, zbudowaną na prawach logiki teatralnej akcji... Wychozimy dziś z zakonspirowanej katakumbi i podejmujemy trud nasz poto, żeby w dalszym ciągu szerzyć nabożeństwo kultu wielkiego słowa naszych Największych“.

Czy Teatr Rapsodyczny dorasta do pięknego zadania, jakie sobie wyznaczył?

Byłem dziś na premierze: „Słowo o Kościuszcze“. Piszę to sprawozdanie pod bardzo głębokim wrażeniem.

Na tle neutralnych draperii — w głębi sceny: dwa szerokie stopnie, prosty cokoł; na nim sylweta „Marsylianki“ Rudeka. Aktorzy — siedem osób — w białych bluzach i czarnych spodniach i spódnicach. Światło. To wszystko.

„Słowo o Kościuszcze“ rozwija się — poprzez „Czerwoną Marsz“ Rostworowskiego: blask coraz bardziej krwawy, echa marsylianki, fanatyczny entuzjastyczny tłum; poprzez Nowaczynskiego „Pułaski w Ameryce“: słowo „wolność“ ma tu już barwę inną, spokojniejszą, głębszą i bardziej pogodną; aż do „Insurekcji“ reymontowej, aż do polskiej wolności — której symbolem: Kościuszkę. Na koniec — pieśń Bogusławskiego.

Gest — oszczędny, tylko w pierwszej części będący jakby echem patosu wspaniałej postaci z Łuku Triumfalnego; przede wszystkim zaś — nieskazitelnie mówione — słowo. Chwila wypowiedziana przysięgi (trzeba to sobie uświadomić: nikt tu nie „gra“ Kościuszki; poszczególne „głosy“ zespołu opowiadają scenę słubowań — aż wreszcie aktor, stojący pod cokołem, mówi ich tekst) — ta chwila była dla mnie naprawdę przejmująca. Spokój i skupienie, brak patosu, prostota inscenizacji, znakomity układ rapsodu: wszystko to ukazuje wielkość historycznej chwili i głębokie znaczenie słów przysięgi — jakby znany od dzieciństwa krajobraz, który odkrywamy nagle, w pełnym słońcu, z nowego szczytu. Entuzjazm młodego zespołu zbliżył nas do Kościuszki — ale i do lotnej myśli, do gorącego serca naszych pisarzy. I trudno wyobrazić sobie bardziej bezpośrednio, bardziej przejmujące obcowanie z pięknem polskiego słowa.

To, co zwykle kojarzy się z wyrazem „teatr“, wydaje mi się, w zestawieniu z Teatrem Rapsodycznym, bała — napuszone — i — powiedzmy: „w złym guście“. Jak mądry przewodnik, Teatr Rapsodyczny wiecie nas, zachwyconych, w głąb kultury narodowej.

J. W. W.

licznymi oddziałami na terenie całego kraju z przed wojny. Pole działalności P. T. K. jest olbrzymie. Trzeba ratować od zagłady i zniszczenia szereg zbiorów regionalnych, którymi nie sposób, by zajęło się w wielu wypadkach Państwo z braku środków technicznych, a nieraz i materialnych. W czasie okupacji nie jedne zbiory muzealne regionalne zostały sprząnięte z oczu okupanta i pochowane w pakach po różnych strychach i zakamarkach, czy nawet piwnicach przez ludzi ideaowych i dobrej woli, którym nie obojętny był los polskiego dobra kulturalnego po małych miastach prowincjonalnych. Zbiory te przeżywały przez całą wojnę w takich zakamarkach i pomieszczeniach, że urało to nieraz podstawowym wymogom konserwacji. Wydobycie tego dorobku kulturalnego, zabezpieczenie przed dalszym niszczeniem oraz należyta konserwacja, a przy odpowiednich warunkach techniczno-lokalowych ich udostępnienie dla zwiedzającej publiczności, oto zasadnicze zadanie P. T. K. w pracy na najbliższą przyszłość w różnych małych miastach prowincjonalnych.

Jak doniosła prasa, do jednych z podstawowych czynności na najbliższą przyszłość Zarządu Głównego P. T. K. ma

być wznowienie popularnego miesięcznika krajoznawczego p. n. „Ziemia” oraz organizacja nowych oddziałów na ziemiach odzyskanych. Jest to wielkie drugie zadanie, które leży przed towarzystwem na najbliższą przyszłość. Chodzi o szerzenie wiadomości o ziemiach odzyskanych oraz pobudzenie w kierunku ich dokładnego poznania u społeczeństwa polskiego. Cel również doniosły, jak i pierwszy. Chodzi tylko, aby znaleźli się ludzie zamoilowani i ofiarni, którzy by w wolnych chwilach od zajęć zawodowych poświęcili się bez reszty zagadnieniom regionalnym z takim zapalem, jak to obserwowaliśmy w centrum Polski przed pierwszą i po pierwszej wojnie światowej. A trzeba sobie uświadomić, że istnieje na ziemiach odzyskanych w każdym niemal powiecie po jednym muzeum regionalnym, które jeśli ocalały, muszą być ośrodkiem pracy P. T. K. Dziś są one pod opieką w większości wypadków Referatów K. i Sztuki przy miejscowych starostwach. Świadoma współpraca i koordynacja pracy między P. T. K. a organami państwowymi, oto naczelne zadanie, jakie stoi przed krajoznawstwem polskim na ziemiach odzyskanych.

J. Ant.

## Przegląd prasy

Bardzo ciekawy jest stosunek prasy obcego katolicyzmu do światopoglądu („Kuznica”, „Odrodzenie”) do kwestii t. zw. „polityki ziemskiej katolicyzmu”, jeśli użyć określenia p. J. Szczepańskiego („Odrodzenie” Nr. 12(69), tyt. art. „Przerosty watykanizmu”). Stosunek tej prasy do polityki Watykanu jest niezmiernie żywy, pełen stałego zainteresowania, baczny, podchwytliwy, ironizujący — ale, bądź co bądź, poważny, jeśli stwierdzić, że tak „Odrodzenie” jak i „Kuznica” poświęcają czołowe kolumny pisma temu zagadnieniu i ekspensują, sądzą, poważnie honoraria autorskie (np. art. p. Szczepańskiego „Przerosty watykanizmu” ma, licząc pobieżnie, 600 wierszy).

Jest to ciekawe. Wiadomo bowiem, że Watykan nie jest mocarstwem, dysponującym armią powietrzną, morską i lądową. Wiadomo, że nie jest dla nikogo groźny siłą militarnej agresji, roszczeniami terytorialnymi, czy możliwością ultymatywnego uderzenia pięścią w stół na jakiegokolwiek konferencji dyplomatycznej. Wiadomo, że jedyną siłą Watykanu (myśląc kategoriami niekatolickimi) jest autorytet moralny, a mocarstwem, którym rządzi, wierzący i po całym świecie rozmieszczeni katolicy.

Toteż prasa niekatolicka, poświęcając wiele miejsca Watykanowi, uznaje ten autorytet i uznaje istnienie jakiegoś dziwnego mocarstwa, z którego polityką należy się liczyć, choćby w formie krytyki, zastrzeżeń, lub oskarżeń.

P. Szczepański w wymienionym już artykule w 12 n-rze „Odrodzenia” zabawia się w historię i przypomina, że to „biskupi bywali różni i papieże bywali różni: świętobliwi i święci, ale też awanturnicy, złoćcy i mordercy”. Piszę o „pornokracji” w dziejach papieństwa (X w.), o takich „potworach”, jak Sergiusz III, Benedykt X lub „18-letni Jan XII”. My to znamy już przez pana. Pan zapomniał jeszcze o nepotyzmie, nie wspomniał pan o symonii, uleciał panu z pamięci Avinon i jednocześnie rządy trzech „papieży”, z których tylko jeden mógł być prawowitym Biskupem Rzymskim.

Znamy. Znamy. Mniej wtajemniczonych odsyłamy do niekwestionowanego ani przez katolików, ani przez niewierzących dzieła: „Dzieje Papieży”.

Chodzi o błąd w polityce Watykanu. P. Szczepańskiemu, „Odrodzeniu” i „Kuznicy” chodzi konkretnie o błąd polityczny pontyfikatu Piusa XII. O rzekome krzywdzenie Polski przez Watykan, brak zdecydowanego stanowiska wobec morderców niemieckich, oraz o popieranie, jakoby, idei i państw faszystowskich.

Przyjmijmy. I zapytajmy jakie konkretne niebezpieczeństwa wynikają z tej

### Prasa amerykańska

#### po zgonie

#### ś. p. Feliksa Nowowiejskiego

Prasa amerykańska poświęca wiele uwagi postaci wielkiego kompozytora polskiego, Feliksa Nowowiejskiego, w związku z jego śmiercią. Największe dzienniki, jak np. „New York Times” i inne, zamieściły obszernie artykuły o twórczości zmarłego. Nazwisko Feliksa Nowowiejskiego jest sławne w Ameryce głównie z oratorium „Quo Vadis” na orkiestrę symfoniczną, chór i sola, wykonywane w filharmoniach Nowego Jorku, Baltimore, San Francisco, Toronto, Filadelfii, Bostonu, Cincinnati, St. Louis, Indianapolis i innych miast U. S. A., nie licząc wykonaw w Ameryce Południowej. W Nowym Jorku kompozytor sam dyrygował „Quo Vadis” w wielkiej filharmonii Carnegie Hall, mając olbrzymi aparat wykonawców (w orkiestrze 8 harf). Jak donosi kompozytor polski T. Z. Kassern, radca kultury i sztuki przy Konsulacie Generalnym R. P. w Nowym Jorku, odbędzie się tam niebawem koncert kompozytorski ku czci zmarłego, twórcy IV Symfonii („Symfonii Pokoju”).

błędnej polityki dla państwowości polskiej, sądzą, że ani p. Szczepański, ani „Odrodzenie”, ani „Kuznica” nie interesują się jakimiś względami moralnymi, wynikającymi z linii politycznej Papieża, którego przecież nie uznają, gdyż nie są katolikami. Im chodzi o konkretne, polityczne skutki błędów tego Człowieka, który nie dysponuje żadną armią, mogącą grozić komplikacjami wojennymi i agresją (np. po stronie żalosnego hiszpańskiego pogrobowca faszystów czy militarnej restytucji Niemiec).

A teraz do rzeczy. Ewentualne „błędy” polityki Watykanu interesują katolików. Katolików, którzy uznają w Papieżu Głowę Kościoła Katolickiego. Najwyższy Autorytet Moralny, Namiestnika Chrystusa na ziemi. Toteż tylko katolikom napisać można: — cóż wiedzieliśmy i w tej chwili wiemy o błędach polityki Watykanu?

Przyznajemy, że w stronę Watykanu zwracali się nasze oczy w okresie krwawej, wojennej próby. Przyznajemy, że każdy głos Watykanu wydawał się nam zbyt nikły. Przyznajemy, że oczekiwaliśmy gromów na morderców. Ze każde słowo Papieża do nas skierowane nie pokrywało się z naszymi pragnieniami sądu, gromu i kary. To są racje. Nastroje wśród katolików nie były dobre. Wywoływała je przede wszystkim ignorancja. Ignorancja własnych politycznych błędów.

Każdy naród ma przy Watykanie własną kurie. Kuria ta referuje sprawy katolików danego narodu czy państwa Watykanowi. Od jej przeczności i sprawności działania zależy tak stan znajomości rzeczy, jak i odpowiedzialne reakcje Watykanu.

Jeśli istniały w czasie wojny pewne niedociągnięcia — winniśmy im sami. Znamy historię i przyczyny aresztowania przez Niemców ks. Kanclerza Mazanka w Krakowie.

Ksiądz Stefan Wyszyński, pisząc w 11 n-rze „Tygodnika Warszawskiego”, że „Kościół jest świadom swego ojcostwa w porządku nadprzyrodzonym, ojcostwa od którego nikogo odepchnąć nie może” wygłasza prawdę nie na dziś i nie tylko na Pontyfikat Piusa XII.

„Kuznica” (Nr. 12(30)) niepotrzebnie pokpiwa ze słów ks. Wyszyńskiego. Nie były one dla niekatolików pisane. Skierowano je w stronę katolików, aby zrozumieli, że nie ma katolicyzmu bez Papieża. Bez Papieża są tylko schizmy, odszczępienia, lub błędne mędrkowanie różnych „wyzwoleńców”, uważających, że samo posiadanie metryki chrztu pozwala na poklepywanie po ramieniu Papieża, lub łaskawe określenie Piusa XI „światłym papieżem”.

P. Szczepański w swoim artykule w „Odrodzeniu” uprawia swoistą propagandę. Polećtać i uderzyć. Piszę bowiem: „Kier katolicki w Polsce nie chciał być najpierw rzymski a później dopiero polski — dlatego kryzys, wywołany polityką Piusa XII wobec Polski, przebiega łagodniej niż można było przypuszczać i głuchy żal a czasem niemal nienawiść do obecnego papieża nie przerodziły się w spontaniczne wołania o jawną separację od Rzymu, jakie dawały się słyszeć czasu wojny”.

Pan bardzo naiwnie rozumuje, panie Szczepański. Niech pan stworzy kościół narodowy. A może jest pan już „biskupem” i potrzeba panu „wiernych” do założenia diecezji?

Warto, aby niekatolicy, pisząc o katolikach i o katolickich sprawach, wiedzieli jedno: katolik — właśnie dlatego, że jest katolikiem — nie „odseparuje się” od Rzymu i nie zapomni nigdy o naturalnym obowiązku służenia własnej ojczyźnie.

A przede wszystkim warto być ściślym — zdawać sobie wyraźnie sprawę z konieczności uszanowania naczelnych dogmatów katolickich. Aby nie popełnić kapitalnego błędu politycznego przez stworzenie naprawdę niepotrzebnych przepaści między katolikami i niekatolikami, pracującymi wspólnie dla dobra Polski.

wb.

## Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

### PRZEMYSŁ WĘGLOWY W ROSJI SOWIECKIEJ.

W 1940 r. roczna produkcja węgla w Rosji sowieckiej wynosiła 166 milionów ton, stawiając kraj ten na czwartym miejscu w produkcji światowej po Stanach Zjednoczonych (448 milion. ton), Anglii (245 milion. ton) i Niemczech (221 milion. ton).

Zapasy węgla w Rosji oceniano w 1913 roku na 230 miliardów ton, co stanowiło 3,2% zapasu światowego, a w 1937 r. na międzynarodowym kongresie oceniono zapas ten na 1.654 miliardów ton, co wynosi 21% zapasów światowych.

Obecna produkcja węgla niewątpliwie obniżyła się w stosunku do stanu przedwojennego przede wszystkim na skutek zniszczeń w Zagłębiu Donieckim. Jednakże, jak to podaliśmy w poprzednim numerze, produkcja szybko wzrasta i w myśl planu Stalina ma w ciągu najbliższych lat osiągnąć poziom 500 milionów ton rocznie.

Biorąc pod uwagę ogromne bogactwo zasobów i umiejętność skłaniania społeczeństwa do olbrzymich wysiłków, plan ten ma szanse powodzenia. W razie jego realizacji Rosja sowiecka stanie się obok Stanów Zjednoczonych największym producentem węgla na świecie. Należy przy tym zaznaczyć, że węgiel rosyjski ma znaczną rozpiętość asortymentów, co wynika z rozróżnienia pokładów po całym kraju, tak różnorodnym pod względem budowy geologicznej. Fakt ten pozwala zaspakajać potrzeby różnych gałęzi przemysłu.

Rozlokowanie przemysłu węglowego przedstawia się według artykułu „Izwiesztii” z 17.II. b. r. następująco:

- 1) Głównym rejonem wydobywania węgla jest Zagłębie Donieckie. Według oceny z 1937 r. zapasy wynoszą 89 miliardów ton. W 1940 r. produkcja Donbasu wynosiła 60% ogólnej produkcji.

- 2) Zagłębie podmoskiewskie posiada zapasy skromniejsze (12 miliardów ton), jednakże węgiel znajduje się na niewielkiej głębokości, co pozwala na szybki rozwój produkcji.

- 3) Zagłębie pieczerskie w pn.-wsch. dolinie europejskiej o zapasach znacznie przewyższających zapasy donieckie. Poza tym węgiel pieczerski nadaje się w szczególności do koksowania.

- 4) Ural. Zapasy węgla na Uralu nie są zbyt duże, wynoszą bowiem według oceny w 1937 r. zaledwie 7,6 miliardów ton. Jednakże złoża są tego rodzaju, że wydobycie następuje systemem powierzchniowym, co szczególnie ułatwia mechanizację produkcji.

- 5) Kaukaz. Istnieją tutaj dwa zagłębia Tkwiłulskie i Tkwarczelskie.

- 6) Azja środkowa. Najważniejsze kopalnie znajdują się na wzgórzach otaczających dolinę fergońska.

- 7) Karaganda. W 1937 r. oceniano zapasy na 53 miliardy ton.

- 8) Zagłębie Kuznieckie (Kuzbas). Zapasy oceniano na 450 miliardów ton.

- 9) Zagłębie Charkowskie w rejonie Miusińska z zapasami wynoszącymi 20 miliardów ton.

- 10) Złoża syberyjskie ciągną się od Jeniseju aż za Bajkał. Aczkolwiek dotychczas mało wykorzystywane są oceniane na setki miliardów ton. Również olbrzymie zapasy węgla znajdują się między rzekami Jenisej i Lena.

- 11) Zagłębie Czeremchowskie w okolicach Irkucka, dorównujące bogactwem złożom Zagłębia donieckiego.

- 12) Zagłębie sachalińskie.

Jak wynika z powyższego przeglądu, bogactwo złożów węglowych jest znacznie większe w Rosji azjatyckiej, aniżeli w europejskiej. Należy zatem liczyć się z odpowiednim przesuwaniem się produkcji. Proces ten już został zapoczątkowany w czasie wojny na skutek opanowania przez Niemców, a następnie zniszczenia największego zagłębia węglowego w Donbasie.

Przed wojną Rosja sowiecka eksportowała zaledwie 1 milion ton rocznie; co nie stanowiło nawet 1% produkcji. Wobec ogromnego rozwoju przemysłu, całą prawie produkcję krajową pochłaniała konsumpcja wewnętrzna. Dlatego też obecnie — wobec spadku produkcji, a równocześnie wzrostu zapotrzebowania na skutek dalszego rozwoju przemysłu i rozszerzenia się zastosowań węgla — Rosja jest zmuszona do importu.

Nie należy też przypuszczać, aby import węgla do Rosji uległ zahamowaniu do czasu osiągnięcia planowanego przez Stalina poziomu (500 milionów ton rocznie). Osiągnięcie tego poziomu równałoby się 3-krotnej zwwyżce produkcji w stosunku do stanu z 1940 r. Obecny system wydobywania węgla w Rosji sowieckiej nie osiągnął tego stopnia modernizacji, co inne przemysły. Dlatego też pewne unowocześnienie, a w szczególności mechanizacja produkcji może dać znaczne efekty.

Znaczenie węgla mimo rozwoju innych źródeł napędowych jest nadal olbrzymie. Obok produkcji pary, która jeszcze długi czas będzie poruszała mechanizm produkcyjny, węgiel staje się podstawowym surowcem coraz to innych produktów. Wiadomo jakie znaczenie miała w czasie wojny produkcja benzyny syntetycznej. Obecnie mówi się o możliwości produkowania z węgla tłuszczów żywnościowych. Można przypuszczać, że w węglu kryje się jeszcze wiele innych bogactw, które oczekują odkrycia.

P. T.

Za mało ołowiu. Lista surowców, których brak daje się dotkliwie odczuwać gospodarce światowej, powiększyła się ostatnio o jeszcze jedną pozycję — ołów. Podczas, gdy każdy orientuje się mniej więcej w znaczeniu takich surowców, jak żelazo, węgiel, nafta czy choćby kauczuk, spopularyzowanych przez publicystykę gospodarczą i polityczną, to ołów na pierwszy rzut oka może się wydawać tematem i mniej atrakcyjnym i mniej związanym z aktualnymi, nas wszystkich obchodzącymi potrzebami. W rzeczywistości jest to wrażliwe myślenie: chodzi bowiem o surowiec, odgrywający w okresie powojennej odbudowy nader istotną rolę, a samo zjawisko jego braku również wiąże się z problematyką, niepozabawioną ciekawych stron.

Pierwsza z nich, to przyczyna nagłych trudności w pokryciu zapotrzebowania światowego na ołów. Dopóki wojna trwała, ołów zajmował na liście metali drugorzędna pozycję, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Wielkiej Brytanii. Było go bowiem pod dostatkiem, podczas gdy inne metale nie-żelazne były ściśle racjonowane. Odkad wojna się skończyła, rolę się odwróciły. Zasoby miedzi, cynku, niklu są naogół wystarczające, dostawy cyny niebawem wzrosną w związku z oczekiwanym wznowieniem produkcji kopalni na Dalekim Wschodzie, natomiast już w styczniu b. r. rząd brytyjski widział się zmuszonym do obniżenia w I-ym kwartale zużycia wysoko-procentowego ołowiu w Anglii na 80% przeciętnej konsumpcji miesięcznej ostatniego kwartału 1945 r. Mimo niewprowadzenia ograniczeń w zużyciu nisko-procentowego ołowiu, jak również ołowiu, uzyskanego ze złomu, konsumpcja spadnie w następnym roku do 90 — 80% przedwojennej. Ponadto od 15 stycznia 1946 r. oficjalna cena została podwyższona z 30 na 39 funtów szterlingów za tonę, to znaczy o 56% w stosunku do ceny wojennej.

Te ujemne następstwa są w pewnym stopniu wywołane brakiem przewidywania ze strony czynników brytyjskich. W okresie wojny rząd brytyjski postąpił się przy nabywaniu ołowiu tą samą metodą, jaką stosował w odniesieniu do innych surowców, t. zn. przeprowadzał masowe zakupy na podstawie długoterminowych kontraktów. Po zakończeniu wojny rząd wypowiedział wszystkie te kontrakty w trzymiesięcznym terminie i na ich miejsce pozawierał nowe, jednak tym razem krótkoterminowe i na znacznie mniejsze dostawy. Niezależnie od tego rozluźnił w sierpniu 1945 r. ograniczenia w konsumpcji ołowiu. Rezultatem był raptowny ubytek zasobów i zwyżka cen.

Ważniejszym błędem było niedoceniecie z jednej strony rozmiarów spadku produkcji w okresie wojny, z drugiej wzrostu zapotrzebowania po wojnie. W czasie wojny produkcja ołowiu, jak już wspomniano, była w szeregu krajów zaniebawiana, gdyż potrzeby wojenne nakazywały w pierwszym rzędzie forsować wydobycie miedzi, cynku, niklu i innych rzadkich metali. Obecnie, jeśli pominąć Kanadę, produkcja wszystkich głównych dostawców ołowiu spadła, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych. Ważną rolę odgrywają tu występujące na całym świecie trudności z rekrutacją sił roboczych do kopalni, przy czym w Meksyku, jednym z większych producentów ołowiu, zostały one zastrzeżone wskutek szeregów się strajków.

Dalszą przyczynę spadku produkcji stanowią zniszczenia wojenne. Ich rozmiary i zasięg dadzą się najlepiej zobrazować na dwóch przykładach: w górnej Birnie uległy zupełnej dewastacji kopalnie towarzystwa Burma Corporation, które dostarczały rocznie 80 — 90.000 ton, w Jugosławii zaś kopalnie w Prepku o zbliżonej wydajności poważnie ucierpiały wskutek rabunkowej gospodarki niemieckiej. Dla orientacji należy zaznaczyć, że przed wojną produkcja światowa wynosiła rocznie około 1.720.000 ton. Podwyższenie jej poziomu będzie nie wątpliwie wymagało sporo czasu. Momentem, utrudniającym sytuację jest nadto zmniejszenie się zasobów złomu, z których normalnie pokrywano 25 — 40% konsumpcji światowej.

Ubytkowi zasobów ołowiu przeciwstawia się wzrost zapotrzebowania. Specjalne właściwości ołowiu, jak łatwość obróbki, niski punkt topliwości, odporność na działanie kwasów, sprawiają, że niełatwo go zastąpić. Mimo szerokiego zastosowania w przemyśle wojennym, jeszcze większe znaczenie przedstawia ołów dla produkcji pokojowej. Około 30% ołowiu zużywa się w przemyśle dla celów wszelkiego rodzaju, poczynając od czcionek drukarskich, a kończąc na preparatach chemicznych. Przeważną część zużycia — około 60 — 66% — przypada jednak na dwa rozległe działy przemysłu, mianowicie budowlany i elektrotechniczny. W przemyśle budowlanym ołów jest używany głównie do rur gazowych i wodociagowych, podziemnych instalacji ochronnych, przy pokrywaniu dachów i wyrobienie farb ołowianych. W przemyśle elektrotechnicznym ołów stanowi podstawowy materiał przy fabrykacji płyt akumulatorowych i bateryjnych oraz wszelkiego rodzaju przewodów. Ołów dzisiaj dla obu tych działów przemysłu otwiera się niebywała koniunktura. Zapotrzebowanie przemysłu budowlanego jest na całym świecie olbrzymie, przemysł zaś elektrotechniczny i związany z nim samochodowy mogą według wszel-

kich oznak liczyć na długotrwały okres rozbudowy.

Niewątpliwie zatem zużycie przedwojenne ołowiu zostanie znacznie przekroczone. Przed wojną sama W. Brytania, zajmowała pod względem zużycia ołowiu zaraz drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych, jej konsumpcja zaś ołowiu na głowę ludności (w 1937 roku 16,3 funta) była prawie dwukrotnie większa, niż Stanów Zjednoczonych i Niemiec a blisko trzy razy większa, niż Francji.

Do 1939 r. zapotrzebowanie Anglii na ołów było pokrywane przez jej imperium, w pierwszym rządzie Australię, Kanadę i Nową Zelandię. Obecnie jednak sytuacja na rynkach światowych uległa zmianie. Podczas gdy przed wojną Stany Zjednoczone były w dziedzinie ołowiu samowystarczalne, to w czasie wojny musiały go importować w ilościach dochodzących rocznie do 400.000 ton amerykańskich (tona amerykańska

— 907 kg), a według urzędowych danych w bieżącym roku zapotrzebowanie na import wynosić będzie co najmniej 300 tys. ton. Jedynie zwiększony dopływ sił roboczych do przemysłu górniczego, na co się jednak nie zanoszą, mógłby zmniejszyć zależność Stanów Zjednoczonych od zagranicznej produkcji ołowiu. Jeśli dodać nadto zwiększone zapotrzebowanie na ołów ze strony krajów zachodnio-europejskich, to łatwo sobie uprzytomnić wzrost popytu na rynkach światowych.

W związku z tym powstaje dylemat, przed którym Anglia już się znalazła, a przedstawiający zasadnicze znaczenie, mianowicie jakimi środkami osiągnąć po większe wydatności? Do wyboru stoją dwie drogi. Pierwsza z nich, to wspomniana już, a stosowana w czasie wojny metoda masowych zakupów i długoterminowych kontraktów. Tego rodzaju metoda gwarantuje przedsiębiorcy zbyt produktów po stałych cenach i przez dłuższy

okres czasu, daje więc podstawy do planowania na długą metę. Jest to zatem gospodarka planowa, zainicjowana przez państwo, jako stronę, udzielającą zamówienia i realizowana na następnym szczeblu przez przedsiębiorcę, opierającego się na pewnych stałych elementach (cena i termin sprzedaży). Druga droga, to pozostawienie swobodnego biegu tendencjom, ścierającym się na rynku, dopóki nie wytworzy się cena wolnokonkurencyjna, która w końcu zrównoważy popyt z podażą. Obiór tej drogi, to wejście na tory liberalizmu, w bezpośredniej zaś perspektywie niewątpliwie podwyżka ceny — jak zresztą w każdym przypadku początkowej przewagi popytu nad podażą.

Przedstawiona wyżej alternatywa zarysowuje się w okresie powojennym coraz częściej w związku ze wzrastającymi potrzebami społeczeństw. O ile jednak w stosunkach wewnątrzpaństwowych

sprawa sprowadza się do decyzji ośrodkowego rządu, to w stosunkach międzynarodowych wkroczenie na drogę planowania wymaga uzgodnienia przez wszystkie rządy programu produkcyjnego, innymi słowy realizacji podziału pracy w skali międzynarodowej, ale nie, jak w XIX wieku w wyniku konkurencji wolno-handlowej, tylko międzynarodowej reglamentacji. Jakikolwiek by jednak korzyści stąd mogły wynikać, chociażby w formie ochrony producentów i konsumentów przed nieobliczalnymi fluktuacjami koniunkturalnymi, to w praktyce wybór tej drugiej metody — międzynarodowego planowania — wydaje się mało prawdopodobny. Dowodzi tego chociażby projekt karty handlu międzynarodowego, podpisany przez delegację Ameryki i Anglii przy zawarciu układu pożyczkowego, proklamujący liberalizm wymiany międzynarodowej w całej rozciągłości. P.

## Wracam z klubu Pikwicka

Nie rozumiem głosów raczej wrogich, niepopierających wystawienia „Elektry” Jana Giraudeux w Teatrze Wojska w Łodzi. Dlaczego właśnie ten utwór wybrano — i do tego obcy? Pytanie to można zadać panu Wiercińskiemu, który już przed wojną (według Ważyka) nosił się z zamiarem wystawienia „Elektry”. Wojna skończyła się. Teraz miał okazję — więc wystawił, sobie robiąc w pierwszym rządzie przyjemność? — Dyskusja, jaka toczyła się pomiędzy Stanisławem R. Dobrowolskim, Leonem Pasternakiem, Wandą Zółkiewską, Haliną Kowalską, Leonem Schillerem, Bohdanem Korzeniowskim (Kuznica), jakkolwiek pasjonująca, jest niekompletna. Dyskutowano nad treścią, konstrukcją, samym wystawieniem nad: dlaczego „Elektrę”, a nie inną sztukę wystawioną w drugim roku pokój. Nad zagadnieniem wojny! Nad Eumenidami i t. d. Naprawdę smutne jest, że wartość wyczuwalną odbiorcy-Polaka oceniono tak nisko. Stanisław R. Dobrowolski w opowiadanej anegdotce podkreśla granice, która nas dzieli od zachodu. Mówi o pięknie sztuki, a jednocześnie chciałby, ażeby jej nie było w chwili obecnej na scenie polskiej — bo nie wszyscy odbiorcy są przygotowani na obejr-

zenie pięknej, a zamądrej „Elektry”. Nie odczuwają artysty — woła jeść boczek wędzony i pić samogon, niż delikatne przyduszone UNRRA. Zapytuję, czy naprawdę architekt musi rozpoczynać budowanie kościoła od dachu, a nie od wieży? Jeżeli wieża jest zarazem dzwonnica, a kościół stoi na wsi, wiejski proboszcz prosi nieraz architekta, aby wybudował wieżę, z której sygnaturka oznajmi wiernym porę mszy odbywającej się w kaplicy.

Widziałem nabożeństwa, na których wierni stali pod parasolami i ich entuzjazm religijny nie był napewno mniejszym, niż wiernych w kościele św. Piotra w Rzymie.

Z tych wszystkich wypowiedzi wyłania się jedna wspólna teza — „Elektrę” mimowoli skrzywdzono, wydając o niej podobne sądy. Zgadzałem się ze zdaniem Leona Schillera, że klasycyzm francuski nie znajduje u nas nigdy należytego miejsca. Nie umiemy zagrać Giraudeux tak, jak trzeba. Ale czyżby należało przypuszczać, że posiadamy świetniejsze o podobnej tematyce i wartości artystycznej polskie sztuki? Tego nie rozumiem. Przypuścimy, że nie zawsze trzeba zachwycać się sztuką rodzimą — są chwile w życiu każdego człowieka, kiedy on pragnie tylko piękna, tylko afektów natury estetycznej. Jeżeli jest w ogrodzie i czuje zapach kwiatów piękniejszy, przychodzący do niego od małego kłabu — a mniej piękny, przychodzący od strony prawej — stanie twarzą odwrócony ku tym miłym zapachom.

Nieraz o wschodzie słońca zaobserwujemy piękny obraz na niebie. Ci, którzy mają wtedy trochę czasu, patrzą na to zjawisko. Przechodząc ulicą zwracamy uwagę na idących ludzi. Sylwetki piękne przykuwają nasze spojrzenie. Nieraz żebrak przygarbiony, stojący w cieniu rozbitego domu, może nam dać oryginalny motyw piękna. To samo jest z muzyką. Słuchamy melodii najbardziej nam odpowiadających i charakteryzujących naszą wrażliwość na artyzm. Czyż piękno, jakie daje Chopin czy Szymanowski, może odgrodzić nas chińskim murem od piękna, jakie tworzy muzyka Skriabina, czy Debussy'ego? Jeżeli chodzi o sztuki teatralne — przecież nie będziemy jeździli do Paryża, do Mekki artyzmu, aby zobaczyć „Judytę” czy „Elektrę”. Czy prędzej czy później musieliśmy ujrzeć „Elektrę” na scenie. A że tak bezpośrednio po grozie wojny narzucono nam ten wiecznie fascynujący temat — zdobycia Argos

i konfliktu pomiędzy Klitemnestrą, Egistosem i Agamemnonem nie dostrzegam zboczenia. Piękno, jakie jest zaklęte w „Elektrze” — w zestawieniu faktów, w samym rozwiązaniu sztuki, w opowiadaniu żebraka, w śmierci Klitemnestry i Egistosy, w scenie końcowej wreszcie, w złotej brodzie Agamemnona — w dwóch zawsze podniesionych do góry małych palcach u obu rąk, w ostatnich proroczych słowach żebraka: „To się bardzo ładnie nazywa, kobieto Narzes. To się nazywa światanie”, jest pięknem czysto klasycznym. Postać Elektry — para Egistos i Klitemnestra, a poza tym, wspaniała konstrukcja poetycka całego utworu daje nam tę krótką radość, jaką odczuwamy, spoglądając rzecz piękną. Są książki, których się nie pamięta i sztuki, o których się zapomina na drugi dzień po obejrzeniu. Elektry trzeba pamiętać. To, co nam daje Giraudeux w swoim utworze, jest mocnym spojrzeniem na rzeczywistość — odtworzoną — w interpretacji genialnego umysłu.

Nikt nie ma prawa wywłaszczać odbiorcy teatralnego z rzeczy naprawdę pięknych. I najtrudniejsza sztuka znajduje w Polsce swoich odbiorców. Trudno, ażeby wszędzie na każdym kroku obniżyć poziom kultury widowisk, dlatego, bo ogół społeczeństwa nie jest przygotowany. Trzeba pracować nad wykształceniem kulturalnym mas, ale jednocześnie nie zmniejszać potencjału artystycznego grających sztuk. Można zgodzić się z tym, co mówił pan Schiller o różnicach pojmowania przez narody sztuki, ale nigdy z tym, że odbiorca polski ma olbrzymie trudności ze zrozumieniem sztuki francuskiej. Bezwzględnie trzeba mieć minimalne przygotowanie, śledzić za rozwojem literatury i programem teatralnym — nie w takim może stopniu, jak starożytny plebs grecki, ale w miarę istniejących możliwości. Elektra jest sztuką o nadzwyczaj czułej materii poetyckiej. Nie każdy bez odpowiedniego przygotowania jest w stanie zrozumieć i odczuć jej monumentalne piękno. Na przygotowanie ogółu społeczeństwa (na to chciałby poczekać S. R. Dobrowolski) — mam wrażenie, że musimy czekać dłużej jeszcze lata. Może dłużej jeszcze niż na odbudowanie Warszawy. Sam temat — jest aktualny — zresztą był aktualnym i pozostanie nim zawsze. Uważam, że trudno było szukać lepszego wyboru. „Elektra” na scenie polskiej, wyglądająca może bardziej ubogo niż na scenie francuskiej, dała widzowi to wspaniałe spięcie piękna, na które cze-

kał przez sześć długich lat okupacji. Można tylko pogratulować panu Wiercińskiemu dobrego wyboru.

Zgadzałem się z tym, że słabo jest przygotowany literacko robotnik i inteligent polski, że „Elektra” nie wszystkim będzie się podobała, nie wszyscy ją zrozumieją — ktoś powie, że „Moralność pani Dulskiej” (sic!) jest ładniejszą sztuką, że polska i t. d. Różne zdania przecież można usłyszeć... Uważam, że anegdotkę, którą pan R. S. Dobrowolski przytoczył, można nie tylko do Polaków zastosować. I we Francji — kraju, który jest producentem najpiękniejszej nowoczesnej poezji, znajdziemy w społeczeństwie elementy nierozumiejące sztuki. A — że odmienność struktury narodów, że temperament, że inna gama odczuwań — wszystko to jest szersze. Każdy ma rację. Dyskusja w Klubie Pikwicka mam wrażenie, że będzie zakończona kategorycznym zwycięstwem „Elektry” Giraudeux.

Sztuka francuska lubi, aby uznano jej wyższość. Jest prosta, naturalna, jasna i rozporządza dużym kapitałem witalizmu artystycznego. Niejednokrotnie była dla poetów innych narodów nie tyle wzorem, ile zachęceniem do tworzenia rzeczy pięknych — nie tyle potęgowała natchnienie, ile pozwalała rozkoszować się drugim — jej — subtelnym ujęciem tematu i brakiem sztuczności.

Nie zajmuję się w tej chwili analizowaniem „Elektry”. Chcę zgodzić się z tym, co mówiono w Łódzkim Klubie Literackim na temat sztuki. Jednak uważam, że o ile dyskusja miała być zamknięta ostatnio opublikowanymi wypowiedziami — pożądana jest rzecz, aby w dyskusji wzięli udział i inni literaci, dla których „Elektra” jest bliższą i bardziej zrozumiałą.

Jerzy Grygolunas



### LAJKONIK

#### Z SANACYJNEJ ŁĄCZKI

NA PEWNEGO POLAKA

„Patrz Kościuszkę na nas z nieba”  
raz Polak skandował.  
I popatrzył się Kościuszkę  
i się zwiymiotował.

#### TOWARZYSTWO DOBROCZYNNOSCI

Dyrektor teatru-tuman, ale, widzi pani należy do...  
Dziennikarka — zidiociła staruszka (1500 zł. miesięcznie) ale, widzi pani należy do...  
Stypendysta — nikły osiołek, ale, widzi pani należy do...  
Redaktor naczelny — bardziej chory na pęcherz, niż dziennikarz, ale widzi pani należy do...

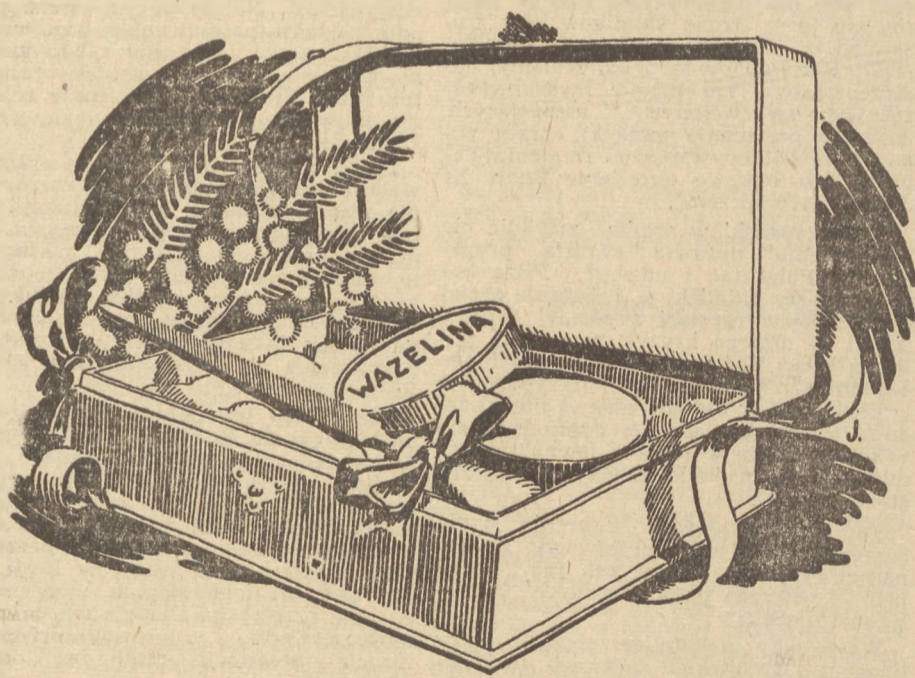
W ten sposób mają raj  
durnie, śmierzdziele a szuje...  
o biedny, biedny kraj!

Uwaga! Szpieg podsłuchuje!

#### ROZGŁOSNIA.

To nic, że to niszczy nerwy,  
ale spójrzcie, jaka kalkulacja znakomita:  
potrzebny tylko oficer rezerwy,  
gramofon, szpilka i płyta!

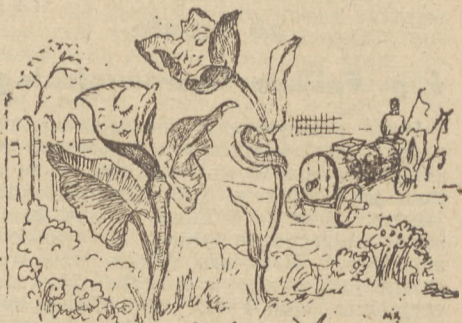
K. J. Gałczyński, 1937



„Szpilkom” w tak serdecznym, jak spóźnionym jubileuszowym upominku.



Wiceprzewodniczący Związku Zawodowego Nurków.



Czy czujesz, luba, mój namiętny  
ku tobie zapach?

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia” Widok 24 B-07110

Obdito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska 3-5.